MISTER HIT I INNI

OSTATNI ODCINEK NOWELI ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO

ODGŁOSY

ROK XIX NR 47 (989) 21 LISTOPADA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REPORTAŻ ZAGRANICZNY (6)

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TEHERAN

Gdyby można było spojrzeć z bardzo wysoka na góry Elbrus, to wtedy mogłoby się wydać dziwne, dlaczego Teheran założono po południowej, pustynnej stronie tego pasma, a nie po północnej — zielonej, dobrze nawodnionej. Ale wystarczy następnie popatrzeć uważnie na mapę Iranu i wtedy wszystko staje się jasne. Starożytni założyciele Teheranu dobrze go zlokalizowali. Od północy broni miasta wysokie pasmo gór. Od południa — pustynia. W dawnych czasach, kiedy na wyprawy wojenne wyruszało się pieszo i konno, miało to wielkie znaczenie.

Ale Teheran nie zawsze był stolicą Iranu. W dawnej Persji — o czym już wspominałem — istniał taki zwyczaj, że każdy nowy szach tworzył dla siebie stolicę. Było to podyktowane różnymi względami. Czasem wynikało z tego, że szach umiłował sobie to czy inne miasto lub w nim się wychował i był z nim związany, ale przede wszystkim wiązało się to z warunkami politycznymi i gospodarczymi Persji. Wspominałem już, że na przykład szach Ismail, założyciel dynastii Safawidów i dziad Abbasa I Wielkiego, miał stolicę w Tabrizu, w zachodnio-północnej Persji. Był to jednak rejon ciągle najeżdżany przez Turków i nic więc dziwnego, że jego syn, a ojciec Abbasa I — szach Tahmasp I przeniósł ją bardziej na południe do Kazwinu. Dopiero Abbas I Wielki przeniósł stolicę do Isfahanu. W jakiś czas później stolicą Persji był Sziraz. Teheran stał się stolicą Persji za panowania dynastii Kadżarów (1787—1925). I został nią również w czasach panowania Pahlavi, czyli po 1925 roku.

Reza Chan nie poszedł w ślady swoich poprzedników. A uczynił to z dwu przynajmniej powodów. Po pierwsze — zbyt był zajęty walką o utrzymanie władzy. Po drugie — ze względu na dogodne położenie miasta. Nie bez znaczenia było wówczas jego bezpieczeństwo, jakie mu zapewniały góry na północy i pustynia na południu. A na dodatek Teheran leży w miejscu, gdzie przecinają się linie łączące krańce Europy, Afryki i Azji, co nie pozostaje bez znaczenia na rozwój komunikacji.

Dalszy ciąg na str. 5

KRAJ

WALDEMAR M. WIŚNIEWSKI

MARTWY SEZON

Są średnie, małe, duże, z rynkiem lub jedną tylko ulicą. Ich mieszkańcy widzą te różnice. Dla ludzi, przepraszam — dla turystów są one nieistotne. Wspólnie mają rzecz niemałą — morze. Dla ścisłości dodam — Bałtyckie. To jedna cecha wspólna, a druga rytm, który tu tylko można odczuć, przeżyć, polubić albo od niego uciec. Przed sezonem, sezon, po sezonie... To tak najogólniej, trzy fazy. Wczasowicz czyli „klucha" tego nie widzi. Dla większości z nich, tubylców, tak wygląda rok. Ale tylko dla tych, którzy robią w turystyce.

Facet z „centralnej" jedenaście miesięcy pracuje a później jedzie do nich na 26 dni roboczych, cztery niedziele i wolną sobotę. Przez tych 11 miesięcy odłożył sobie trochę na urlop. Oni na to liczą. I to długo. Długo czekają na te trzy miesiące — na duży sezon. **Obyczaj każe jechać nad morze w czerwcu, lipcu, sierpniu. Kto ma nos do interesów zarobi przez trzy miesiące na samochód albo połówkę domu i na życie „może nie luksusowe ale bez pracy" przez pozostałe dziewięć miesięcy.** A później? Zamykają rożna, wieszają kłódki na gofrach, plackach, cukierniach. Likwidują sklepy, sklepiki, knajpy z najgrzeczniejszą w Polsce obsługą. Zaczyna się martwy sezon.

Są średnie, małe i duże jak np. Międzyzdroje **„...miasto w pow. wolińskim, na Wolinie, woj. szczecińskim, nad m. Bałtyckim 4,4 tys. mieszk. (1967): duże kąpielisko morskie: muzeum Wolińskiego Parku Nar.; prawa miejskie 1945." (MEP)**

To miasto i ludzie też żyją w rytmie dyktowanym przez klimat, pogodę, wczasowiczów. Ci ludzie dwa razy w roku zmieniają miejsce zamieszka-

Dalszy ciąg na str. 8

GOSPODARKA

JACEK INDELAK

skrzypiące wahadło

czytaj str 3

KOSMOS

BOGDAN FELT

SYGNAŁY Z WSZECHŚWIATA

Niemal wszyscy astronauci, którzy odbyli loty na Księżyc, opowiadali po powrocie o osobliwym zjawisku: otóż znajdując się w przestrzeni kosmicznej, w nocy, kiedy nie było widać żadnego z ciał niebieskich, obserwowali dziwne błyski. Jak się później okazało, owe błyski spowodowane były uderzeniami w siatkówkę oka ciężkich cząstek atomowych, poruszających się z wielką energią, takich, jakie spotyka się w promieniowaniu kosmicznym, a na Ziemi w gigantycznych akceleratorach. Doświadczenia przeprowadzone w laboratorium wykazały, że komórka żywa, naruszona w czasie takiego zderzenia, nie tylko nie wraca do normy, ale zaraża progresywnie wszystkie sąsiednie komórki. Zachodzi również obawa, że rzecz ma się podobnie z włóknami nerwowymi.

Czy promieniowanie to jest rzeczywiście tak niebezpieczne dla zdrowia człowieka?

Dwaj naukowcy amerykańscy, P.S. Young i K. Fukui, przeprowadzili w związku z tym pewien eksperyment, który miał na celu zbadanie stopnia szkodliwości oddziaływania promieniowania kosmicznego na ludzki wzrok. W eksperymencie posłużono się samolotem ponaddźwiękowym, który przez 80 godzin krążył na wysokości około 18—20 tysięcy metrów, zaś w jego fotelach na wysokości głów pasażerów umieszczono płytki światłoczułe. Po zakończeniu doświadczenia eksperci stwierdzili, że pasażer tego samolotu rejestrowałby 75 błysków na godzinę lotu, co uznali za cyfrę alarmującą. Czy rzeczywiście słusznie? Słaba strona doświadczenia tkwiła bowiem w tym, że nie można było w sposób całkowicie pewny odróżnić na

Dalszy ciąg na str. 7

JEDNO PYTANIE

Po wakacyjnej przerwie wznawiamy serię wypowiedzi ankietowych, które orientują w najnowszych poszukiwaniach i zainteresowaniach środowiska literackiego w naszym mieście. Przypomnijmy, że w latach 1974—75 „Odgłosy" opublikowały cykl szkiców krytycznych pod nazwą „Słownik pisarzy łódzkich". Niniejszy cykl jest jego kontynuacją.

Dlaczego interesuje się Pan literaturą białoruską?

Odpowiada: **JAN HUSZCZA**

Myślę, że niemały wpływ na ten kierunek moich zainteresowań pisarskich miał fakt, że pochodzę z tzw. kresów wschodnich, gdzie była ogromna mozaika narodowościowa, gdzie obok języka polskiego słyszało się białoruski, rosyjski, ukraiński, jidysz. A chyba jest rzeczą naturalną, że zetknąwszy się z jakimś językiem, chciałoby się coś wiedzieć o literaturze, jaką stworzył. I przyznam się, najbliższa wydała mi się literatura białoruska, bliska polskiej przez swą XIX-wieczną tradycję, wykazująca wiele powinowactw tematycznych. Nie jest chyba przypadkiem, że językiem białoruskim interesował się Mickiewicz. Jego bliski przyjaciel Jan Czeczot poszedł jeszcze dalej, tworząc poezję polską i białoruską. Ta dwutorowość, dwujęzyczność jest zresztą charakterystyczną cechą literatury białoruskiej w początkach jej rozwoju. Można przywołać takie nazwiska jak Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Janka Łuczyna-Niesłuchowski. Nawet Syrokomla pisywał po białorusku, a przecież przykładów wspólnoty kultury polskiej i białoruskiej dałoby się wskazać znacznie więcej. Ba, nawet młody Janka Kupała, jeden z najwybitniejszych poetów Białorusi, zaczynał od wierszy polskich.

Oto dlaczego zainteresowałem się literaturą białoruską starając się jednocześnie, aby ta moja sympatia do twórczości sąsiadów znalazła dokumentację książkową. Po „Wierszach białoruskich", po „Poezjach wybranych" Maksima Bahdanowicza, a także wyborze współczesnych opowiadań białoruskich przygotowuję obecnie, jak zawsze, przy współpracy wielu tłumaczy, także łódzkich, antologię historyczną poetów białoruskich dla „Ossolineum".

Cóż, za fascynacje młodości trzeba płacić także w wieku dojrzałym.

Jak się robi serial telewizyjny?

Odpowiada: **HENRYK CZARNECKI**

Recepta na udany serial telewizyjny jest całkiem prosta. Najpierw więc trzeba znaleźć reżysera filmowego i to, najlepiej, klasy Zbigniewa Chmielewskiego. Właśnie dlatego, że on wie dobrze, jak robi się seriale. A dalej, bagatelka, trzeba tego reżysera zafrapować tematem.

Przy okazji nie zaszkodzi być pisarzem i mieć w tece autorskiej coś gotowego prozą: powieść, nowelę albo nowelę, powieść. W przypadku, o którym opowiadam, punktem wyjściowym były dwie strony mojej książki „Profesor na drodze". One to właśnie posłużyły za materiał do dyskusji przy pisaniu scenariusza. I wspólnymi siłami rozrosły się do z górą dziesięciu godzin projekcji czyli siedmiu półtoragodzinnych odcinków filmowych. Najtrudniej, bo nie wszystko przychodzi łatwo, jest znaleźć tytuł dla całości. W twórczej męce zdecydowaliśmy się nazwać nasze dzieło „Daleko od szosy". Jeśli ten tytuł roboczy nie będzie się komuś podobał, to trudno, już się stało. Rzecz została nakręcona. W porównaniu ze scenariuszem nie jest to może dzieło identyczne, bo sporo przerobiło się w scenopisie, a nawet na planie, przy wydatnym współudziale aktorów, pewne sceny zostały dopisane.

A teraz czekam na projekcję serialu w telewizji. Z równym zafrasowaniem, jak wówczas, gdy oglądałem swoje wcześniejsze filmy „Ogłoszenie matrymonialne" oraz „Profesor na drodze", który dostał wszystkie możliwe nagrody. Kiedy się pisarz sprawdza... Cóż, życie.

Przy okazji zawiadamiam, że po projekcji czekam na kolejne propozycje scenariuszowe. Na szklany ekran. Albo na duży.

JAKIE JEST ZNACZENIE LITERATURY SCIENCE FICTION?

Odpowiada: **ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY**

Wbrew wielu poglądom, nie sądzę, aby fantastyka naukowa była dzieckiem ery rozwijającej się myśli technicznej. Jest ona tak samo długowieczna, jak długowieczna jest ludzkość, gdyż mityczna personifikacja sił przyrody była pierwszym krokiem do twórczości fantastycznej. Początkowo nic nie zapowiadało oszałamiającej kariery człowieka. Dopiero wówczas, gdy zdobyliśmy miażdżącą przewagę nad otaczającą nas przyrodą, wprowadziliśmy na Ziemi w ciągu 150 lat, takie zmiany, jakich ewolucja nie dokonałaby na przestrzeni milionów lat. Jednakże w miarę postępów wiedzy kres dociekań wyraźnie oddala się, zamiast przybliżać. Ilość niewiadomych bezustannie rośnie. Rośnie też trudność naukowego przewidywania. Naukowcy są niezwykle ostrożni w stawianiu hipotez. I właśnie powściągliwość uczonych wyręcza fantastyka naukowa. Dzisiaj już to, co było zawarte w sferze marzeń wielu pokoleń, stało się rzeczywistością. Ale co będzie za dwieście, tysiąc, sto tysięcy lat?

Znaczenie literatury SF polega więc na tym, że przygotowuje niejako do stawienia czoła przyszłości, która w dodatku, w miarę postępu wiedzy, „skraca się w czasie". Nie tak dawno przecież wiedza nabyta w młodości wystarczała na całe życie. Dzisiaj to samo pokolenie na dobrą sprawę musi się uczyć kilka razy.

SF powstała z potrzeby poznania przyszłych zdarzeń i potrzeby wyjścia ponad współczesną wiedzę i rzeczywistość. Sekret popularności SF leży zarówno w tym, że wzmaga ona zainteresowanie nauką, jak też i w tym, że próbuje ona zaznajamiać społeczeństwo z naukowymi metodami poznania. Twórczość ta wciąga czytelnika w krąg ludzkich spraw i dążeń w sytuacjach szczególnie trudnych konfrontacji z przyszłością. Ostatecznie wszyscy czujemy się po trosze wyobcowani we współczesnym wspaniałym, a równocześnie złowrogim świecie, z którego zmianami nie nadążamy się oswajać. SF przedstawia nam nadzieje naszego gatunku, próbuje dać odpowiedź na pytania i niepokoje. Trzeba jednak podkreślić, iż nawet wówczas, gdy wyznajemy filozofię optymistyczną, dalecy jesteśmy obecnie od bezkonfliktowej i spokojnej SF. Wynika to również z tego faktu, że SF, będąc jak gdyby estetycznym zwierciadłem nauki, dostrzega nie zawsze dodatnie, a czasem wręcz tragicznie szkodliwe jej skutki. Motyw ten podejmuje tak zwana „powieść — ostrzeżenie".

PLASTYKA

DZIEJE SZTUKI

Na rynku księgarskim ukazuje się coraz więcej pozycji poświęconych sztuce współczesnej, dawnej i najstarszej, polskiej i obcej. Przez długie lata odczuwaliśmy dotkliwy brak tego rodzaju wydawnictw; obecna sytuacja zdaje się wróżyć jak najlepiej na przyszłość. Wydaje się również słuszne położenie nacisku na prace o charakterze historycznym i teoretycznym (tych ostatnich jest ciągle za mało), jako że w albumach, z racji przysłowiowych już kłopotów poligraficznych, mocni nie jesteśmy. Na pewno więcej pożytku przyniesie książka oparta na tekście z reprodukcjami dzieł sztuki, traktowanymi jako konieczny załącznik informacyjny, niż album reprodukcji sknoconych w procesie druku. Lepszym jest również opieranie się na tłumaczeniach (wartościowych pozycji — tego chyba podkreślać nie trzeba) niż czekanie na opracowania własne, jako że czytelnik czeka niecierpliwie na książkę i zawarte w niej wiadomości, co nie oznacza wcale, że autorów polskich należy dyskryminować, przeciwnie, trzeba ich popierać, ale nie kosztem cierpliwości czytelnika.

Długo czytelnik polski czekał na przykład na prawdziwie nowocześnie opracowaną historię sztuki. Wydana w 1954 roku „Historia sztuki" Piotra Lavedana obejmowała średniowiecze i czasy z postimpresjonizmem włącznie, gromadziła materiał dobrany pod kątem potrzeb i zainteresowań czytelnika francuskiego. Niemały też wpływ na selekcję materiału miały osobiste zainteresowania autora, chętniej zajmującego się sztuką francuską, włoską i hiszpańską, jak również architekturą i rzeźbą średniowieczną. Książka Lavedana wydana w Ossolineum pozbawiona była całkowicie reprodukcji, służyła jednak wiernie całym rocznikom na uniwersytetach i w szkołach plastycznych. Wydana następnie Białostockiego „Sztuka cenniejsza niż złoto" zawierała co prawda spory materiał ilustracyjny, była jednak zbyt popularnie potraktowana i nadawała się raczej do bibliotek domowych w kulturalnych domach. Poza tymi dwiema pozycjami i skryptami Adama Bochniaka, wydawanymi przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, nie było niczego innego. „Teoria widzenia" Strzemińskiego miała zgoła inny charakter i nie można jej traktować jako wykładu dziejów sztuki.

Ta dotkliwa luka zostaje oto w tej chwili wypełniona pierwszym tomem „Dziejów sztuki w zarysie", wydanym przez „Arkady". Całość edycji obejmować ma trzy tomy. Pierwszy „Od paleolitu po wieki średnie" napisał prof. Mieczysław Porębski i jest on już na półkach księgarskich. Drugi „Od wieków średnich do końca XVIII w." opracowany przez prof. Ksawerego Piwockiego i trzeci „Sztuki plastyczne XIX i XX wieku" pióra, jak i pierwszy, prof. Mieczysława Porębskiego są w rychłym przygotowaniu. Godzi się w tym miejscu oddać wydawnictwu „Arkady" sprawiedliwość, za staranne i estetyczne wydanie tomu.

Prof. Mieczysław Porębski, konstruując pierwszy tom „Od paleolitu po wieki średnie", oparł się o praktykę własnych wykładów prowadzonych w Akademii Sztuk Pięknych w latach 1950—1969 w Katedrze Przedmiotów Teoretycznych, kierowanej przez prof. Ksawerego Piwockiego. Założeniem programu, według słów autora, było „objęcie porównawczym wykładem dziejów sztuki wszystkich ośrodków i kontynentów, przezwyciężenie ciążącego nad naszą cywilizacją europocentryzmu, tak jednak, by nie została przy tym zachwiana szczególna dla nas waga śródziemnomorskiego i klasycznego dziedzictwa, tego, które uformowało humanistyczne podstawy naszej przeszłości i współczesności i nie przestanie, miejmy nadzieję, wpływać na naszą przyszłość. Wizja zuniformizowanego pod jeden strychulec, monokulturowego świata, która jeszcze w pierwszej połowie naszego stulecia nęciła czy też niepokoiła wyobraźnię utopistów i prognostyków, dziś rozwiewa się kompletnie. Najbliższa, a i dalsza chyba, przyszłość świata rysuje się jako policentryczna i wielokulturowa, i właśnie dlatego obowiązani jesteśmy do jak najpełniejszego poznania — w konfrontacji i przez konfrontację z innymi — tradycji własnej, której odrębnych wartości nie powinno braknąć w przyszłym koncercie ludów i kultur świata".

Autor podejmuje zatem próbę ukazania fenomenu sztuki w jego ideowym, formalnym i technicznym rozwoju w ścisłym związku z najistotniejszymi wydarzeniami historycznymi i duchowymi kolejnych epok i obszarów geograficzno-kulturowych. Specjalny nacisk kładzie na wykazanie związków między poszczególnymi kręgami cywilizacyjnymi, na wzajemne wpływy i zależności i na ich ogólny charakter oraz na współrzędność wielu zjawisk w dziejach sztuki. Aczkolwiek autor wyszedł z formy wykładu, książka nie jest wykładem. Stanowi nowoczesny, syntetyczny zarys dziejów sztuki, oparty o szerokie tło terytorialne i historyczne. W ten sposób potraktowany temat (po raz pierwszy zresztą w naszej rodzimej literaturze) uzmysławia Czytelnikowi nie tylko głębię czasu, w którym następowały wielorakie i fascynujące przemiany ludzkiego ducha, ale też pozwala inaczej spojrzeć na nasz antyczno-europejski krąg cywilizacyjny i skonfrontować go z innymi, odrębnymi kręgami.

ANDRZEJ GRUN

Mieczysław Porębski „Dzieje sztuki w zasysie. Od paleolitu po wieki średnie". Wydawnictwo „Arkady", W-wa

REFLEKSJE

TYLKO KAMIEŃ

1.

Są ludzie, którzy umierają jeszcze za życia. Tak umarł Norwid, i zanim umarł naprawdę, umierał długo, i wtedy też, gdy pisał: „cyprysy mówią, że to dla Julietty, że dla Romea — ta łza znad planety spada i groby przecieka. A ludzie mówią i mówią uczenie, że to nie łzy są, ale że kamienie. I — nikt na nie nie czeka". Uczenie przywracał Norwida do życia Miriam, ale dopiero Niemen obrazoburczo sięgając po Rapsod pamięci Bema żałobny wrzucił Norwida na usta wszystkich, oburzonych profanacją; na usta cioć od literatury przede wszystkim — i nie tylko, bo oto nagle Norwid stał się własnością mas i masy obrażały się w imieniu Norwida, chociaż masy nigdy przedtem ani potem Norwida nie czytały i nie czytają.

2.

Teorię unizmu trudno śpiewać beatowo, Strzemiński nie będzie więc miał tego szczęścia co Norwid, własnością mas nie stanie się nigdy i nikt o Strzemińskiego masowo kruszyć kopii nie będzie. Wpisano Strzemińskiego do leksykonów, encyklopedii — starczy. Ale od czasu do czasu wyciąga się jednak Strzemińskiego, odkurza, glansuje, żeby świecił się jak najpełniej, lśnił brązem, przypina się Strzemińskiemu ordery wielkości, których za życia nie uświadczył, poklepuje z czułością wielką i krzyczy: Pionier sztuki nowoczesnej w Polsce! twórca teorii unizmu!, woła się o wpływach Strzemińskiego tu, tam i ówdzie widocznych, o znaczeniu Strzemińskiego dla polskiej plastyki, malarstwa, abstrakcjonizmu, i oto Strzemiński staje się opokową wartością, potrzebną do wspierania prestiżowych — lokalnych lub krajowych — przetargów; w Panoramie telewizyjnej, tym szczególnym przetargu kulturalnych dorobków miast — dla Łodzi Strzemiński wygrał jak arab czystej krwi punkty dodatkowe, liczące się, ważkie.

3.

Na grobie Strzemińskiego w Dzień Zaduszny, ten szczególny dzień, w którym umarli wracają do żywych i żyją znowu dotąd, dopóki nie wypalą się znicze, na omszałym, zielonym od pleśni grobie-kamieniu ktoś jednak zapalił litościwą lampkę, ktoś rzucił chryzantemy. Próżno się łudzić, to nikt z tych, co nazwisko Strzemińskiego obracali cmokająco przez przypadki, korzystając głównie z nadto stosowanego wołacza: O! Strzemiński!. — w telewizyjnej Panoramie chociażby. To tylko anonimowy przechodzień. Strzemiński umierał długo i mozolnie za życia, w ciągu dwudziestu czterech lat od rzeczywistej śmierci zdążył omszyć się zieloną pleśnią na Cmentarzu Starym. „Malarz i teoretyk sztuki. 1893—1952". Napis wyryty w kamieniu. Skromnie. I dumnie. Po prostu. Bez fałszywych złoceń, litanii zasług — niezauważalnie.

Aż razi — tak niezauważalnie.

W zwykły, powszedni dzień ta niezauważalność razi mniej. W zwykły, powszedni dzień tylko nieliczni zmarli żyją w kwiatach. Ale w Dzień Zaduszny, płonący od pamięci pożogą ognia: grób Strzemińskiego tak cichy, tak ciemny, tak przez to ubogi, od litościwych przechodniów domaga się gestu pamięci. Anonimowy, chociaż opatrzony napisem. Napis na grobie Strzemińskiego: malarz, teoretyk sztuki — w Dzień Zaduszny staje ironią, szyderstwem, naigrawaniem. Za to pleśń jest tu niestrudzona, żywotna, witalna, rozrasta się od lat pewno dwudziestu czterech nieprzerwanie i niestrudzenie, witalnie. „A ludzie mówią i mówią uczenie, że to nie łzy są, ale że kamienie".

Kamień, tylko i wyłącznie kamień, porosły żywą pleśnią dwudziestoczteroletniego czasu niepamięci.

4.

Ile to razy Strzemiński wbiegał na usta w ciągu tych dwudziestu czterech lat, przyodziany jak w proporzec — w wołacz: O! Strzemiński!. Zapotrzebowanie na wołacz ze Strzemińskim w roli głównej nie zbiega się z Dniem Zadusznym. Nie ma jak dotąd instytucji, które instytucjonalnie zajęłyby się przynajmniej odczyszczeniem kamienia. Wołacz nie kosztuje nic, bezpłatny jest, darmowy; czyszczenie kamienia nagrobnego kosztuje, musi przejść przez księgowość i budżet.

A ludzie?

Ludzie przecież mówią i mówią uczenie.

To tylko kamień.

EWA OSTROWSKA

UWAGA CZYTELNICY!

Czas odnowić prenumeratę „Odgłosów" na rok 1977. Zgłoszenia przyjmują Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe DO DNIA 25 LISTOPADA 1976 R.

Cena za 1 egz. wynosi:
rocznie 156.— zł
półrocznie 78.— zł
kwartalnie 39.— zł

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje społeczne i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „Prasa — Książka — Ruch", w miejscowościach zaś, w których nie ma oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

INFORMACJE

NOMINACJE PROFESORSKIE

Na wniosek Rady Ministrów Rada Państwa przyznała tytuł profesora zwyczajnego 35, a profesora nadzwyczajnego 73 osobom. Wśród nich znaleźli się łodzianie, którzy w dniu 10 bm. w Belwederze otrzymali z rąk przewodniczącego Rady Państwa — Henryka Jabłońskiego nominacje.

Tytuł profesora zwyczajnego nauk humanistycznych otrzymał Stanisław Gerstmann — prof. nadzwyczajny w UŁ, nauk technicznych: Janusz Kulesza — prof. nadzwyczajny w PŁ.

Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego nauk fizycznych przyznano: Leszkowi Wojtczakowi — doc. w UŁ, nauk humanistycznych: Tadeuszowi Pawłowskiemu — doc. w UŁ, nauk medycznych: Markowi Jaroszowi — doc. w AM w Łodzi.

POLACY WŚRÓD LAUREATÓW

W Paryżu ogłoszono werdykt jury, które rozstrzygnęło konkurs na budowę pomnika ku czci Polaków — uczestników walk o wolność Francji. Pomnik ten stanie w centrum Paryża na pl. Warszawy, gdzie w czerwcu ub. roku kamień węgielny położył prezydent Republiki Francuskiej — Valery Giscard d'Estaing.

Pierwszą nagrodę w konkursie otrzymali francuscy architekci Andre Greck i Pierre Delorme. Drugą nagrodę przyznano Bronisławowi Chromemu i Jerzemu Pilitowskiemu, a trzecią — Wojciechowi Bojorowi i Barbarze Kramarczyk. Przyznano też 4 czwarte nagrody.

LONDYŃSKI TEATR W ŁODZI

Na gościnne występy do Polski przyjeżdża National Theatre Workshop z Londynu. Po zaprezentowaniu na scenie Teatru Żydowskiego w Warszawie „Dawnych czasów" Pintera i „Makbeta" w reżyserii Johna Rusela Browna National Theatre Workshop wystąpi w dniach 18 i 19 bm. na małej scenie Teatru Nowego w Łodzi.

NAGRODZONA „ZOFIA"

Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Teatralna i Telewizyjna co roku przyznaje nagrodę za najlepszy debiut. W tym roku laureatem nagrody im. A. Munka został Ryszard Czekała za film fabularny pt. „Zofia". Laureat ma w swym dorobku wiele już filmów animowanych które otrzymały nagrody międzynarodowe.

SPŁONĘŁY BEZCENNE DZIEŁA SZTUKI

Pożar zniszczył bezcenne freski i ikony w liczącym 1000 lat klasztorze Meghistis Lavras, na górze Athos w pobliżu Salonik. Pastwą płomieni padły dwie sąsiadujące ze sobą kaplice. Mimo niezwłocznie wszczętej akcji strażaków żywioł rozszerzał się błyskawicznie i zniszczył bezcenne dzieła sztuki. Rzecznik policji stwierdził, że przyczyna pożaru było wadliwe funkcjonowanie pieca w głównym budynku klasztoru.

PLASTYCY NA SPOTKANIU W KC PZPR

Przed kilku dniami odbyło się w Komitecie Centralnym PZPR spotkanie zastępcy członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR — Jerzego Łukaszewicza z Zarządem Głównym Związku Polskich Artystów Plastyków. Tematem spotkania były aktualne problemy rozwoju sztuk plastycznych w naszym kraju. Wśród przedstawicieli Związku był również Benon Liberski.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

JACEK INDELAK

skrzypiące wahadło

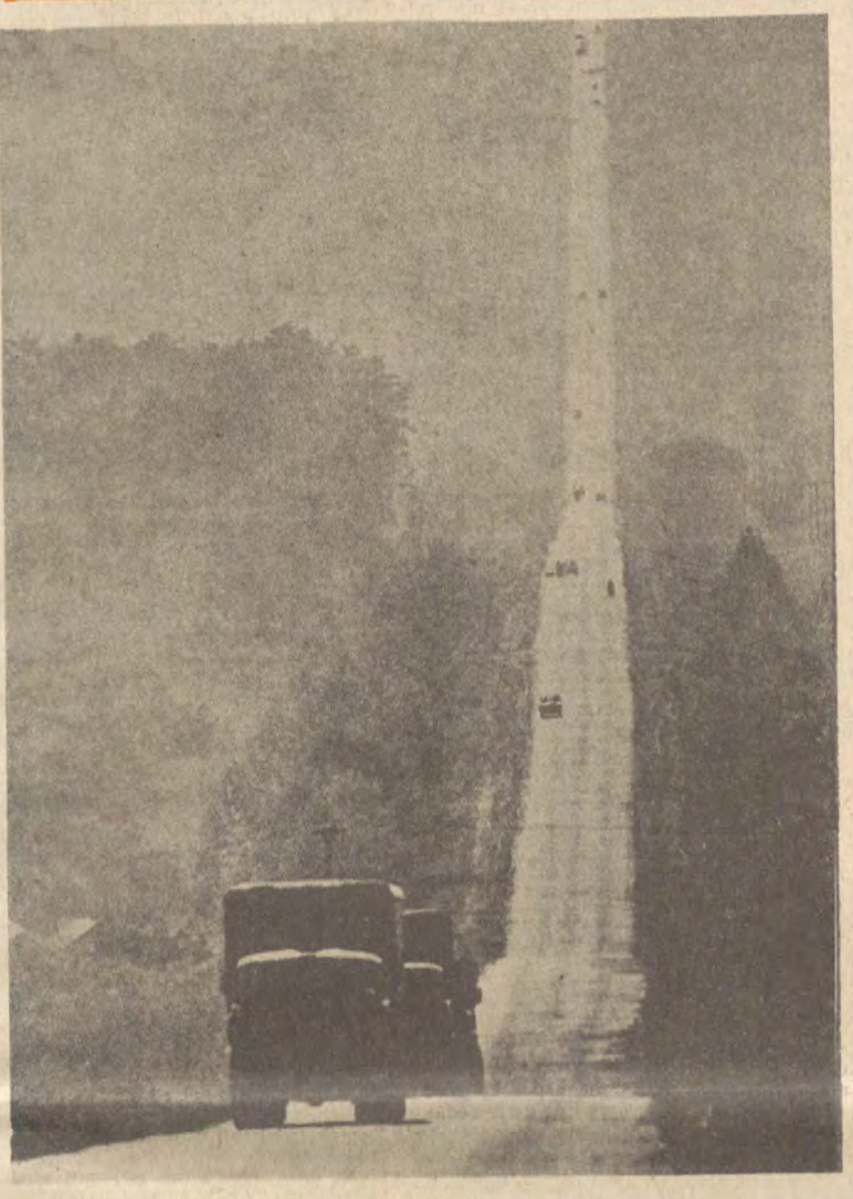

„W niespełna dwie godziny później ciężarówka wyjeżdża z magazynu..."

Godzina piąta rano. Na teren magazynu Gminnej Spółdzielni w Gruszczycach wjeżdża „Jelcz 315" – ropniak, ciągnący kilkutonową przyczepę. Za kierownicą – **Henryk Nowak,** pracownik Spółdzielni Transportu Wiejskiego w Sieradzu.

W niespełna dwie godziny później ciężarówka wyjeżdża z magazynu. Na jej skrzyni i przyczepie sto czterdzieści dwa, równo poukładane worki. Magazynier – **Stanisław Gronert** wystawia kwit na czternaście ton ziemniaków.

Dalszy ciąg ze str. 1

Ciężarówka jedzie przez Sieradz. Henryk Nowak wprowadza ją jeszcze na parę minut do bazy transportowej Spółdzielni Transportu Wiejskiego. Mechanicy dokonują ostatnich czynności technicznych: sprawdzają poziom oleju, oglądają silnik i podwozie, sprawdzają hamulce i światła. W końcu dyspozytor — **Wiesław Kołodziejczyk** daje znak odjazdu.

Henryk Nowak wyprowadza samochód w przeszło dwustukilometrową podróż na Śląsk, włączając go do akcji ziemniaczanej, prowadzonej tradycyjnie w systemie wahadłowym: z ziemniakami na Śląsk — powrót do Sieradza z węglem.

Jego ciężarówka jest jedną z dziesięciu, jakie wyprawiono tego dnia na Śląsk. W kabinach dziewięciu z nich zasiadają sami kierowcy, którzy pełnią równocześnie funkcję konwojentów. Ostatnia ma nadprogramowego pasażera — dziennikarza...

— Już szósty rok z rzędu prowadzona jest ta akcja — powiedział mi poprzedniego dnia zastępca dyrektora sieradzkiej Spółdzielni Transportu Wiejskiego, Mieczysław Misiak. — **W tym roku przekazaliśmy łącznie — transportem kołowym Spółdzielni Transportu Wiejskiego, Państwowej Komunikacji Samochodowej i taboru śląskiego — prawie sześćdziesiąt ton ziemniaków dla mieszkańców województwa katowickiego i bielskiego — pracowników kopalń, zakładów przemysłowych i instytucji. Te same samochody przewiozły kursami powrotnymi przeszło czterdzieści tysięcy ton węgla dla mieszkańców województwa sieradzkiego...**

„Jelcz" toczy się powoli po asfalcie. Optymalna szybkość: sześćdziesiąt kilometrów. Kierowca musi szanować pedał gazu, inaczej bowiem może wpakować wóz do rowu albo wywrócić przyczepę na zakręcie.

Kiedy nie zna się drogi, nawet i sześćdziesiątka bywa niebezpieczna. Henryk Nowak zna jednak drogę na pamięć. W czasie tegorocznej akcji wykonał już ponad dwadzieścia kursów na Śląsk i z powrotem, a ponieważ w pionie transportu wiejskiego pracuje już dziewiętnaście lat, należy do pionierów sieradzkiej akcji ziemniaczanej, w której uczestniczy rokrocznie.

— W czasie akcji więcej przebywam na Śląsku niż w Sieradzu. Co najmniej cztery kursy w tygodniu, co daje dziesiątki godzin spędzanych na terenie Śląska — mówi kierowca.

W pięć godzin po wyruszeniu z Gruszczyc „Jelcz" zatrzymuje się na poboczu drogi. Wysiadamy i sprawdzamy, czy nie obsunęły się worki na skrzyni. Na oko żadnego nie zgubiliśmy.

— Na oko! W praniu dopiero się okaże czy mamy wszystkie, czy też nie — pomrukuje Nowak. — **W zasadzie nie powinniśmy nic zgubić, bo dzisiaj ładowali je fachowcy, ale bywa, że jakaś fajtłapa weźmie się do załadunku i worki tańczą, jak na weselu. A potem, jak brakuje, buli za straty kierowca.**

Bez postojów jedziemy następne dwie godziny. Zatrzymujemy się dopiero w Lublińcu, gdzie przy tamtejszej Spółdzielni Transportu Wiejskiego działa stacja benzynowa.

— Tak wygodniej, nasze jednostki prowadzą rozliczenia bezgotówkowe — wyjaśnia kierowca — **nie muszę więc płacić za paliwo.**

W dziesiątej godzinie podróży — przejechawszy przez Tychy — podjeżdżamy pod barmę kopalni „Lenin" w Wesołej Śląskiej, dla której przeznaczona jest kolejna poreja kartofli.

Wychodzi strażnik i na hasło: — **Akcja ziemniaczana!** — bez żadnych formalności unosi szlaban. Ciężarówka wtacza się za bramę i skomplikowanym systemem wewnętrznych dróg dociera po kilku minutach pod zielony barak z kredowym napisem: **„akcja ziemniaczana".**

Dyspozytornia akcji: maleńka klitka z dwoma biurkami, telefonem i trzema krzesłami. Tłok i gwar. Energiczny dyspozytor Jan Kubas przydziela zadania kierowcom i robotnikom. Jednemu z nich wręcza plik kartek z adresami górników, do których ekspediuje właśnie ziemniaki.

— Z Gruszczyc? Znakomicie! — wita nas z uśmiechem. — **Tęskniliśmy jak diabli za wami, bo kończą nam się ziemniaki. Czternaście ton?! Świetnie!**

— No, choopoczku, do robota. Kartofel trza rozładować — obraca się do jednego z młodych ludzi w roboczym drelichu. — **A ja mam to w dupa, ja ida do dumu** — odpowiada ten, ale to tylko żart, bo chłopak wprawdzie wychodzi, ale nie do domu, lecz aby skrzyknąć do rozładunku swoich kolegów.

„Jelcz" zajeżdża pod betonową rampę magazynu, w którego wnętrzu leży stos pustych worków. Opada klapa skrzyni: rozpoczyna się rozładunek. Pracują młodzi robotnicy z oddziałów pomocniczych kopalni, oddelegowani do akcji: **Jan Kulka, Piotr Pawlica, Edward Sarnociński, Jan Szczędzina, Jan Tomasiewicz, Stanisław Wójcik.** Chłopcy dwoją się i troją: dowcipkują, dopingują. Odbywa się próba bicia rekordu — przewiezienia dziewięciu worków na raz na dwukołowym wózku, którego to wyczynu podejmuje się Tomasiewicz, sromotnie jednak wywalając stertę worków na podłogę magazynu:

— Cholera — klnie przy tym, zbierając worki — **osiem pociągnę, a dziewiąty — nie. Sa pieruna, to pewnie te patałachy źle worki układają.**

— Swarne chłopy — mówi Jan Kubas — **oni i ich koledzy** zdrowo się narobili tej akcji. Do tej pory przyjęliśmy prawie tysiąc siedemset ton, był jednak moment załamania. Tydzień temu. Zjechało nam się tego dnia aż trzydzieści pięć ciężarówek z przyczepami. Trzeba było rozładować przeszło trzysta ton pyrków. Organizacja nawaliła, a do tego cały dzień lał deszcz. Tego dnia myśleliśmy, że się ziemniakami udławimy. W magazynie się nie mieściły, całe rampy pozawalane... Ale daliśmy sobie jakoś radę. Po tej stercie ziemniaków nie ma ani śladu. Wszystkie, jak i poprzednie, i następne, leżą sobie już spokojnie w piwnicach naszych górników. Wszystkim dowozimy je do domu.

Rozmowę przerywa górnik, który pyta Jana Kubasa o termin komisji. Ten zaś odpowiada, że komisja już „na dniach" zacznie jeździć, interesant odchodzi więc spokojnie.

— Mamy trochę reklamacji — wyjaśnia Jan Kubas. — **Ziemniaki są bardzo smaczne, jak to — sieradzkie, ale szybko zaczynają się psuć. Musimy ludziom częściowo wymieniać. Nie ma jednak żadnego problemu, bo to niewielki w sumie procent, a dostawca ziemniaków idzie nam na rękę i w ciemno uznaje reklamacje.**

— Ziemniaki psują się i psuć się będą — mówi Henryk Nowak — **jeśli zostawi się je na noc na placu, pod gołym niebem i wystarczy, że trochę przemarzną, to już je szlag trafia.**

— To nie zostawiajcie ich pod gołym niebem — odpowiada Jan Kubas. — **My? To wy bardzo często nie macie gdzie ich pomieścić i całymi dniami trzymacie je na placu, zamiast od razu odwieźć do górników — podejmuje dalszą dyskusję Henryk Nowak, łagodząc zresztą zaraz: — No, wy to może i nie, ale zdarza się tak w innych kopalniach, a już przede wszystkim w WSS. A potem są pretensje do nas i reklamacje. Ziemniaki przecież to nie węgiel.**

Dyskusja się kończy, bo padł właśnie rekord: czternaście ton ziemniaków rozładowanych — oczywiście ręcznie — w pięćdziesiąt minut. Worki poukładane w równe, pięciowarstwowe pryzmy we wnętrzu magazynu, a skrzynia i przyczepa ciężarówki — puste.

Jeszcze tylko niezbędne podpisy i pieczątki w pakamerze i już Henryk Nowak wiezie mnie do kopalnianej stołówki, która położona jest kilka „ulic" dalej.

— Fajne chłopaki — mówi podczas smacznego obiadu — **błyskawicznie nas załatwili. W ogóle z odbiorem w kopalniach nie jest źle, gorzej jak się odstawia ziemniaki do magazynów WSS-ów.**

Siódmego października sieradzki samochód czekał w WSS-Jaworzno pięć godzin na rozładunek ziemniaków. Następnego dnia — inny samochód w Bielsku-Białej czekał dwie godziny. I tak dalej...

Wyjeżdżamy z kopalni „Lenin", której brama znów otwiera się na ustne hasło.

— Zobaczymy, jak pójdzie dalej — mówi kierowca. — **Żeby tylko nie było kolejki, jak to się najczęściej zdarza. No, ale zaraz okaże się...**

Nasze miejsce przeznaczenia: kopalnia „Ziemowit" w Lędzinach. Jest też i kolejka. Na drodze dojazdowej do kopalni sznur samochodów i ciągników: z Pszczyny, Cieszyna, Myślenic, Tenczynka, Miedźna, a także z Krakowa, Hrubieszowa, chociaż większość to — „miejscowi". Ustawiamy się na końcu kolejki, podwójnie — szarnym, bo już zaczyna się zmierzchać. Od czasu do czasu wzdłuż naszej kolejki przejeżdżają wozacy, którzy krążą wokół kopalni, niczym ćmy.

Idziemy do biura sprzedaży drobnicy. W kantorku urzędnik z okienka podnosi głowę:

— My z akcji ziemniaczanej, z Sieradza. Tu większość miejscowych, a przed nami długa droga. Czy my też musimy czekać?!

— Ja, ja, porządek musi być, co tam akcja, w kolejności — słyszymy w odpowiedzi.

— My wam ziemniaki wozimy bez kolejki, a jak po węgiel — to w kolejce?! — Urzędnik ignoruje tę uwagę, podejmując rozmowę z następnym petentem.

Wracamy do naszego samochodu, który — pod naszą nieobecność — wyprzedzić zdążyły dwa inne.

— Tu nie Wersal — mruczy Nowak **— nikt się nie bawi w grzeczności. Biada kierowcy, który zmęczony drogą usnąłby w kolejce za sterem. Obudzi się pewnie rano pod kopalnią, sam jak palec.**

Siedzimy więc i cierpliwie czekamy. Skracam sobie czas lekturą dokumentu, który powstał w sieradzkiej STW w oparciu o raporty kierowców.

— 10 października — cztery godziny oczekiwania na załadunek węgla pod kopalnią „Halemba",

— 8 października — sześć godzin pod kopalnią „Janiszczewice",

— 7 października — cztery godziny pod kopalnią „Brzeszcze",

— 21 września — dziesięć godzin w kopalni „Szombierki"...

— Najgorsze, że do naszych papierów wpisują nam tylko godziny wjazdu na teren kopalni — komentuje Henryk Nowak.

— Nikt nie uwzględnia oczekiwania w kolejce. Już pominąwszy fakt, że tracimy na tym pod względem finansowym, że musimy się do tego tłumaczyć i spowiadać, bo przecież na te godziny właściwie nie mamy pokrycia, co gorsza jednak — szkoda tych zmarnowanych godzin. Co za pożytek z samochodu, który stoi, zamiast jeździć i wozić ładunki.

— Głowa do góry — woła do nas kierowca z Hrubieszowa — **nieźle idzie, zupełnie szybko, mają węgiel, żeby tylko nie było jakiej awarii...**

Mijają prawie dwie godziny, kiedy w końcu wjeżdżamy na teren kopalni. Trzynasta godzina podróży. Kierowca wyskakuje z kolejki i biegnie z plikiem papierów w garści, aby nadać im formalny „bieg".

Wjeżdżamy pod wagę: środkowym wjazdem, z lewej — miał, z prawej — groszek, a my — po orzech. Z przeraźliwym łoskotem sypie się z góry metalową rynną węglowy deszcz. Kierowca zręcznie manewruje samochodem, aby równomiernie rozłożyć w skrzyni i na przyczepie węgiel, sypiący się w dwutonowych kęsach.

Po pięciu minutach mamy już naszych jedenaście ton.

Czekamy na papierki, wyjechawszy spod wagi. Henryk Nowak wdrapuje się z łopatą na skrzynię i rozgrzebuje węgiel, upychając go w dołki, niwelując górki.

Idziemy do kantorka. Panienka ze spedycji krajowej wypisuje coś na przełożonych kalką płachtach papieru.

— Spedycja krajowa to najbogatsze chyba w kraju przedsiębiorstwo — narzeka nie bez racji kierowca. — Za wypisanie tych papierków, czyli pośrednictwo w usługach transportowych, biorą dwadzieścia procent. Pięć minut wypełniania rubryk i do kasy przedsiębiorstwa spływa osiemset złotych. Ja rozumiem, PSK jest potrzebna wtedy, gdy jedzie samochód z ładunkiem i ma kurs powrotny — pusty. Wtedy, za załatwienie ładunku powrotnego, niech sobie biorą procenty. To ma sens. Ale najczęściej bywa tak, że jadę z ładunkiem i kurs powrotny mam z góry załatwiony. Powinienem więc wyładować towar, zabrać następny — i z powrotem. Niestety, muszę się zawsze — jak każdy z moich kolegów — meldować w PSK, które udziela mi błogosławieństwa i pobiera swoje procenty. Pół biedy, jeśli przedstawiciel PSK jest na miejscu, ale najczęściej to trzeba jeździć, szukać przedstawicielstwa spedycji, żeby dostać od nich stempelek. Na naszej tegorocznej akcji PSK, nic nie robiąc, zarobiła lekką rączką grube miliony...

Wyjeżdżamy w końcu z kopalni. Na drogę kładzie się mgła. Szarówka. Typowa jesień. Powrót nie będzie lekki.

Przed północą docieramy do Sieradza. Wpół do pierwszej w nocy. W dwudziestą godzinę akcyjnej podróży „Jelcz" Henryka Nowaka wtacza się na teren magazynu w Gruszczycach. Postoi tu z węglem do rana. A rano Henryk Nowak — po paru godzinach snu — stawi się w magazynie, aby uczestniczyć w rozładunku węgla. Będą tu czekały na niego kolejne dyspozycje: może znów z ziemniakami na Śląsk? Po raz dziewiętnasty w tym miesiącu włączyć się do skrzypiącego niekiedy wahadła...

NIE TYLKO HISTORIA

Z HISTORIOGRAFII NIEMIECKIEJ

W ostatnich latach w piśmiennictwie historycznym Niemieckiej Republiki Demokratycznej daje się zauważyć ożywienie zainteresowań historiograficznych. Problematyka historii historiografii coraz wyraźniej poczyna interesować szersze kręgi badaczy, nawet tych, którzy dotychczas zdawali się od niej stronić. Jest przecież niezmiernie charakterystyczne, że zajął się nią również tak wybitny uczony, jak Jurgen Kuczynski, historyk gospodarczy o światowym rozgłosie, autor monumentalnego dzieła o położeniu klasy robotniczej w warunkach kapitalizmu. Praca ta, którą autor począł ogłaszać na emigracji od 1942 r., zrazu w języku angielskim, rozrosła się z pierwotnych czterech tomów do... czterdziestotomowego dzieła „Die Geschichte der Lage Arbeiter unter dem Kapitalismus" w wydaniu Akademie — Verlag, w latach 1960 — 1972. Jurgen Kuczynski nie poprzestał jednak ani na historii gospodarczej, w której jest uznanym w świecie autorytetem, ani na obfitej twórczości publicystycznej, którą zajmuje się, będąc aktywnym działaczem niemieckiego ruchu komunistycznego, nieprzerwanie od wczesnej młodości. Ostatnio ukazał czytelnikom inny krąg swych zainteresowań, publikując w 1974 r. tom opatrzony tytułem: „Muza i historyk" (Die Muse und der Historiker), zawierający wnikliwe studia o trzech wybitnych historykach minionego stulecia: Jakubie Burkhardt'cie, Hipolicie Taine i Henry Adams'ie. W zeszłym zaś roku nakładem Aufbau — Verlag w Berlinie ukazała się książka Jürgena Kuczynskiego i Wolfganga Heise o związkach między sztuką a nauką historyczną, zatytułowana: „Bild und Begriff. Studien über die Beziehungen zwischen Kunst und Wissenschaft". Znalazły się tu, skreślone wytrawnym piórem Jürgena Kuczynskiego, wnikliwe studia o zagadnieniach historii i sztuki w twórczości G. Lessinga, J. W. Goethego, F. Schillera i innych niemieckich pisarzy, znalazł się piękny szkic o problemach sztuki w twórczości takich historyków, jak L. von Ranke, H. Ritter, G. Waitz i inni.

Badania historiograficzne w NRD szczególnie intensywnie obejmują dzieje klasycznej niemieckiej historiografii burżuazyjnej XIX w. i dziejopisarstwa okresu Republiki Weimarskiej. Tego rodzaju orientacja badawcza ma swoje poważne uzasadnienie. Przypomnijmy tu, że po wstrząsie II Wojny Światowej, niemiecka historiografia burżuazyjna poszukiwała środków dla przezwyciężenia kryzysu swej dyscypliny w nawiązaniu do tradycji historiograficznej XIX w. i początków XX stulecia. Próby reaktualizowania wątków liberalno — konserwatywnego dziejopisarstwa okresu Republiki Weimarskiej — jak zauważył to amerykański badacz G. G. Iggers — miały swoją zdecydowaną wymowę ideologiczną. One też spowodowały, że zachodnioniemiecka historiografia, powielając tradycyjne wzorce, nie tylko stroniła od wszelkich poważnych rozważań rozrachunkowych, ale okazała się przez długi czas zamkniętą na nowe nurty, rozwijające się w nauce światowej. Proces modernizacji nauki historycznej zaczął się w RFN znacznie później niż w innych krajach. Można o nim mówić właściwie dopiero od kontrowersji wokół książki Fritza Fischera „Griff nach der Weltmacht", wydanej w 1961 r. Jest więc zupełnie zrozumiałe, że gdy historiografia burżuazyjna nawoływała do kontynuacji dawnej tradycji, marksistowska nauka hisotryczna NRD podjęła coraz to bardziej ambitne próby jej przewartościowania. Z początku trudno było jej ustrzec się pewnych przejaskrawień, po latach jednak widzimy, że dysponuje ona obfitym i wartościowym dorobkiem w tej dziedzinie.

Niewątpliwie czołowym osiągnięciem badań historiograficznych w NRD jest ogromna monografia Hansa Schleiera „Die bürgerliche deutsche Geschichtsschreibung der Weimarer Republik", ogłoszona w 1975 r. przez Akademie — Verlag w Berlinie, w serii publikacji Centralnego Instytutu Historycznego Akademii Nauk NRD. Dzieło to przynosi najpełniejsze w dotychczasowym dorobku nauki, wszechstronne omówienie zarówno kierunków dziejopisarskich, poglądów historyków, jak aktywności przeróżnych instytucji życia naukowego Niemiec z okresu Republiki Weimarskiej. Szczególnie wiele uwagi poświęcił H. Schleier poglądom i postawom nie tylko historyków o orientacji konserwatywnej, ale i przedstawicielom liberalnej lewicy w nauce. Pracę swą oparł o ogromną podstawę źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, czerpanych z archiwów NRD, RFN i Polski (Wrocław). Dzieło H. Schleiera przedstawia się naprawdę imponująco; już dziś wiadomo, że spotyka się z żywym zainteresowaniem specjalistów w różnych krajach, między innymi i w Polsce. Dlatego też wypadnie nam do tej książki jeszcze powrócić.

LEKTOR

HORACY SAFRIN

HAMLET

Poprzez dworaków uśmiechniętych szpaler
cichaczem stąpam, snując swe gawędy.
Jako niewolnik, przykuty do galer,
wiosłuję myślą tędy i owędy.

Nocą królewska zamajaczy delia,
strach sinotrupi kroki me podwoi.
Wnet mnie spojrzeniem obrzuci Ofelia
i aktor zalka nad zgliszczami Troi.

Mało mam w sobie z buńczucznego Marsa,
na monologach ostrzę swój puginał.
Moja tragedia (czasem tragifarsa)
tylko suflera oszczędzi na finał.

Po wszystkie czasy doda mi splendoru
żałobny kaftan, peruka i bezczyn
dźwięczący jambem antycznego chóru:
„To be or not to be, that is the question..."

KRÓL LEAR

Korowód chmur opasał bór
i morze szare schłostał.
Miałem diadem i trzy cór,
a otom sam pozostał.

Szkarłatny grzmot rozetlił w lot
Schroniska gąszcz ustronny.
Karmiłem rzesze zbrojnych rot,
a otom sam bezbronny.

Dech mroźny burz mchy zwarzył już
i tafla jezior skrzepła.
Darzyłem ciepłem bezlik dusz,
a otom sam bez ciepła.

MIROSŁAW KUŹNIAK

LECHOŃ

Dwie siostry, czułe dwie siostrzyce,
Chodzą po miejskim trotuarze.
Na zwiędłe szyje, blade usta
Noc im nakłada makijaże.

Jedna ubrana w białą suknię.
Druga ubrana w suknię czarną.
Lśnią perły w świetle lamp ulicznych,
Jak łzy co skrzepły i nie spadną.

Gdy wejdą w mrok, w uliczkę ciemną,
Lechoń im zastępuje drogę.
Szepce: Pardon, teraz już wiem,
Naprawdę kochać można obie.

Lecz wybrać trzeba tylko jedną.

☆ ★ ☆

Matka krzyczy nad ranem.
Zrywa się i biegnie do okna.
Długo uspokajamy jej oddech
tłukący się o poszarzałe z bezsenności ściany.
Potem leżymy w ciszy,
ja, brat i ojca schorowany cień,
patrząc, jak chłodne czoło lampy,
stojącej na stoliku.
śni swój poranny sen.
Wtedy matka wstaje,
obchodzi wokół łóżko
i małejący w świetle poduszki
budzi cień ojca
na pierwsze śniadanie.

☆ ★ ☆

dokąd biegniesz, cieniu, dokąd
oderwawszy się od ciała,
od przypisanego nieba głowy,
od przeznaczonej równiny stóp,
dokąd biegniesz, cieniu, dokąd,
pozbawiony ciała,
co ty zrobisz bez jego ciepłej obecności,
jak ty się uchowasz bez strzelistego aktu kręgosłupa,
jak ty przeżyjesz bez jego misternej konstrukcji żeber,
stałej gotowości płuc, serca i wątroby
bez luminalu, bez aspiryny, bez nitrogliceryny
bez witaminy B-complex
jak sobie dasz radę
na przykład
bez kataru lub migreny
jak ty przetrwasz, cieniu,
z tą, co ci przypisałem
wielką białą plamą
nieśmiertelności
przez całą noc

Ciężki walec drogowy przesuwał się za plecami siedzącego na skraju drogi mężczyzny z kurtką zarzuconą na ramiona i brulionem w ręce. Kierowca przekrzykując warkot silnika informował go:

— Jeszcze do tego kasztana i cisza Technik poszedł dzwonić do bazy, żeby materiału dali, słyszy inżynier?

— W porządku.

Inżynier Stefan Talecki machnął ręką i znowu popatrzył w stronę nowego murowańca. Za bramą zobaczył inne zabudowania i prawie wszystkie nowe. W rogu obejścia leżało kilkanaście potężnych kamieni. Zza stodoły dobiegały inżyniera krzyki dzieciarni Koło płotu oddzielającego zabudowania stali dwaj starsi gospodarze i o czymś pilnie rozmawiali kurząc dostojnie papierosy. Paru maluchów skryło się między kamieniami, a gdy inni zaczęli pokazywać się na podwórzu, rozległy się piskliwe krzyki i strzały — ba — bach! ba — bach! Harmider wzmagał się. Taleckiemu nie chciało się jednak odchodzić, chociaż też powinien połączyć się z bazą w sprawie materiału na podkład, muszą przecież ten odcinek drogi wyszykować do końca miesiąca, czasu niewiele. Od Łukowa szło im dobrze bez przestojów do samych Szaniaw, ale teraz trzeba czekać, nie wiadomo, kiedy dotrą do Trzebieszowa Liczył i patrzył na rozmawiających przy płocie mężczyzn. Zaczęły mu się przypominać jakieś znajome twarze, zdarzenia i pomyślał, że mógłby powtórzyć, o czym rozmawiają ci dwaj przy czwartym słupku przechylonego w stronę Kowalów płotu. Usiadł wygodniej na pryzmie i poddał się miarowemu rytmowi krwi pobudzonej wrzaskiem biegającej dzieciarni. Słońce grzało w plecy, jednostajne terkotanie silnika usypiało. To była właściwa chwila. Do rozmowy z czasem potrzebne są specjalne okoliczności. Talecki słuchał, minionego....

— Będzie się na fundament brać — powiedział stary Floreczek do Kowala Popatrzyli razem na wielkie głazy zajmujące cały róg podwórza między stodołą i studnią. Kowal patrzył tak jakby rachował i dlatego mruknął niby do siebie, niby do Floreczka: Pewnie trza będzie dowieźć...

— To się dowiezie — też z namysłem powiedział swoje Floreczek — abo to wozu nie mam, koni nie mam, dowiezie się.

— Trzeba będzie i połupać.

— A to się połupie, wielgie rzeczy.

— Ludzi by się wam przydało, ludzi, i to robotnych.

— A jakże, przecie nie sami, wiadomo, zmówi się paru chłopa i tyle.

— Z tydzień zejdzie przy tym, jak nic, ma się rozumieć bez niedzieli, chociaż jakby na upartego...

— E, co wy, w niedziele? przecie i konie muszą wytchnąć, i chłopaki do Trzebieszowa na sumę, i mnie kości wyprostować z godzinkę, a przecież i szkło by na stół trzeba...

— Wasza racja, bez niedzieli. Pewnie i poczęstunek jaki, grosz według umowy, po somsiedzku, bez niczyjej szkody.

Zaczęli rachować, ile wypadnie za rozbijanie, ile za układanie — osobno w pieniądzach, osobno w jedzeniu.

Ugadali sprawę i każdy poszedł w swoją stronę bez pośpiechu. Stefka nie zauważyli, bo przyglądał się im zza największej buły, a słuchał tak pilnie i tak był przejęty, że mu się na płacz zebrało. No bo jakże, rozbijać takie kamienie, takie olbrzymy! Pomiędzy nimi można się schować, że nikt z dorosłych nie wypatrzy. Co dnia ten kąt obejścia jest krainą z bajki, twierdzą i terenem indiańskich podchodów. Ile się chłopaki nauganiają po tych wertepach, wiedzą tylko matki i starsze siostry, którym przychodzi cerować portasy i kurtki, albo koszule, nie licząc smarowania skaleczeń i przykładania noża do guzów. Można tu również skryć się przed gniewem ojca i przeczekać najgorsze, a wtedy wrócić niby z daleka, usiąść koło pieca ze skruszoną miną i po cichu obmyślać następną zabawę, której dorośli i tak nie są w stanie pojąć. A w samym środku rumowiska pomiędzy trzema największymi głazami znajduje się twierdza. Buda z nadgniłych sztachet kawałków papy, chrustu i dachówki chroni przed deszczem i słońcem. Można wejść w trzech, czy czterech i opowiadać o podróżach, o bójce z chłopakami z Poniatowa i o dziewczynach — jakby je nastraszyć, kiedy schodzą mrokiem z pastwiska W twierdzy roiło się o strzelbie, która Kowal trzymał w dole koło chlewa

Chłopaki wypatrzą wszystko, nie ma we wsi niczego, co by się im na oczy nie nawinęło. Józek od Szaniawskich — Kulków należał do starszych chłopaków, miał 16 lat i chwalił się że już z butelki pociągał — z tym kulawym pomocnikiem Wojtkowej, której męża zabrali do obozu, kiedy syn uciekł z domu do lasu, bo nie chciał na roboty. Ktoś doniósł, pewnie sklepikarz, bo świdrował tymi swoimi ślepiami i miał złość na Wojtków za kawałek łąki, której nie chcieli odstąpić po dobremu, przedtem jeszcze za pieniądze i wódkę tak mówili, lecz prawdy jasnej nikt nie znał. A więc kiedy Józek pozałatwiał się jak popadło z robotą przy krowach i koniach, przychodził do twierdzy i siadał na honorowym miejscu — na tronie, którym był dziurawy ceber pokryty mchem i wychodzona chustką babki Kielusowej (z Szaniawskich). Józek rządził wszystkimi chłopakami, do każdego zagadał, ale sitwę trzymał tylko ze starszymi. Stefka przypuszczał czasem do kompanii, bo czytać umiał i przynosił w papierku trochę tytoniu, który podbierał ojcu, gdy pomagał mu nabijać gilzy. Przykazane miał „trzymać gębę na kłódkę" i nie wtrącać się do rozmowy.

Zdarzały się też dni powszechnego zbratania, wtedy Józek i jeszcze dwóch albo trzech chłopaków dołączali do młodszych i rozpoczynała się gra z kiwanego. Uganiano się po łączce Kowala i kopano zawzięcie małą piłeczkę pokrytą delikatnym meszkiem. W kiwanym wzrost nie zawsze był najważniejszy. Taki Bolek Witasów samego Józka potrafił ograć. Zabawa podobała się wszystkim, tylko często krew skapała z pięty albo palca kiedy który zamiast w piłeczkę trafił w kamień. Piłeczki były własnością Stefka. Przywiózł mu je z Warszawy w prezencie stryj. Często zaglądał do Szaniaw, jak zwykle po mięso i słoninę. Miał zielony plecak na skórzanych paskach, wysokie buty i kurtkę z kożuchem, żeby wyglądać na chłopa.

Białymi piłeczkami Stefan zaczął grać na wiosnę, to znaczy w kwietniu, gdy podeschło po marcowych deszczach. Najczęściej stał na bramce, czyli pomiędzy dwoma kamieniami. Rzucał się i kopał w pole, łapał i podawał chłopakom ze swojej drużyny, albo po prostu ciskał w gromadę, gdy gra odbywała się na jedną bramkę Często zdarzało się, że silnie kopnięta piłeczka przelatywała obok Stefana i nim się spostrzegł, ginęła pomiędzy kamieniami w trawach i badylach. Co się naszukali, naszarpali pod kamieniami, wszystko na nic. Przepadła. Jedni wołali, że przegrywający specjalnie zgubili piłkę, inni kłócili się o przegrany mecz. Wszystkim żal było przerwanej zabawy. Wypraszał więc Stefan u matki lub ojca nową piłeczkę, ale wciąż myślał, co stało się z tamtą i dumał jakby odnaleźć zgubę. Nie udawało się też innym chłopcom, którzy zakradali się między kamienie, mimo że Klusek ujadał przeraźliwie. Stefan się martwił, że znów trzeba będzie napychać pończochę szmatami i słomą, ale co to za gra taką piłką.

Te strapienia silniejsze były niż widok matki lamentującej, że brakuje soli, nafty, cukru, bo co na świecie mogło być ważniejsze od wspaniale odbijającej się piłeczki i to piłeczki, która była jego własnością, to dawało Stefanowi pozycję wśród chłopaków, wiedział o tym. Ale było w tych zagubieniach coś niepojętego i tajemniczego, a zasłyszane opowieści o duchach i czarach nasuwały chłopcom różne przypuszczenia. Często przemyśliwali, w jaki sposób uchwycić na gorącym uczynku Tego, który im płata nieprzyjemne figle. Starsi śmiali się i wymyślali coraz to straszniejsze historie, a Józek podkradł się raz pod twierdzę i jęczał tak dziko, że na chwilę uwierzyli i ile sił w nogach,

MICHAŁ DALECKI

TWIERDZA PODWÓRKOWA

potykając się i padając uciekali każdy w swoją stronę. Chociaż zię wyjaśniło i dziewczyny chichotały z uciechy, to przez dłuższy czas żaden z maluchów nie odważył się wchodzić pomiędzy kamienie do twierdzy, kiedy zrobiło się zupełnie ciemno. Mimo tych sensacji, często strasznych i w wyobraźni Stefana a także innych chłopców urastających do fantastycznej przygody, chłopiec martwił się, że Floreczek i Kowal będą rozbijać kamienie, żeby się nadały na fundament do nowego domu Szaniawskich (czyli po prostu Floreczka). Wykopy mieli zacząć już pod koniec kwietnia.

Wcześniej jednak nadeszło największe zło. Nawet maluchy już wiedziały, że za wsią Niemce stawiać mają bunkry. Zajechali w połowie miesiąca i spędzili wszystkich mężczyzn pod szkołę. Karabiny gotowe do strzału, ujadające psy, krzyki „czarnych" i „żółtych", rozpaczliwe lamenty kobiet. Sklepikarz tłumaczył, że kto będzie uciekał od roboty albo źle pracował, zostanie zastrzelony, jego dom spalony, a rodzina pójdzie do obozu. Sołtys powie, kto do jakiej roboty zostanie przeznaczony i co ma ze sobą zabrać.

We wsi zrobiło się straszno. Kobiety paliły świece przed świętymi obrazami, mężczyźni szykowali łopaty, siekiery i wozy. Nikt nie opuszczał swego obejścia. Lekliwie wyglądano do inwentarza, ale mimo strachu trzeba było nakarmić, napoić, pościelić, więc robiono, co trzeba. Stefan wyglądał ukradkiem to przez okno, to przez dziurę na strych i nawet nie pomyślał o kamieniach, chociaż patrząc na święta w koronie wyrwało mu się, coś jakby prośba —„Niech już Floreczek rozbija byle ci sobie poszli" i powtórzył to jeszcze raz przed snem. Rano, po głównej ulicy przechadzali się niemieccy żołnierze i stukali mocno obcasami, a niektórzy próbowali zagadywać o mleko i jajka. Po wczorajszym harmidrze jakby się uspokoiło, lecz matka z Antosiową nie przestały szeptać w kącie zdrowasiek, chociaż mężczyźni łukali, że nie ma co biadolić tylko za obiad się brać i dobytek oporządzać, bo szwaby tego za nikogo nie zrobią.

Następnego dnia pierwsze kamienie poszły pod młot Kowala i choć się nie spieszył, robotę było widać. Starszy od niego Florian Szaniawski łupał swoje kamienie na drobne i co chwila patrzył ukradkiem na grubego „żółtka' opartego o cembrowinę studni.

— Ale spasiony byk — szeptała Antosiowa do matki Stefana, gdy zamawiając się pożyczką soli wpadła „tylko na minutkę".

Pierwsza furmanka zabrała kamienny gruz w południe druga już czekała, a powoził nią chromy syn Kowala. Chociaż zabrali dwa wozy, głazów na podwórzu było wciąż dosyć i Stefan z Wojtkiem i Bronkiem od Stasiów policzyli, że do wieczora jeszcze dwa albo i trzy kamienie znikną z kupy. Teraz już wiedzieli na pewno, że ani diabły, ani czarownice nie były tak straszne jak ci z karabinami. Na ich oczach zaczęła kruszyć się kraina dziecięcych zabaw i w niebezpieczeństwie znalazła się kamienna twierdza — schowek dziecięcych tajemnic, przytulisko przed deszczem w czasie ważnych narad i schronienie przed rodzicielskim pasem.

W ciągu tych kilku dni Stefan dowiedział się, dlaczego matka modli się, żeby wszyscy święci pokarali Hitlera, dlaczego nocą przychodzili jacyś obcy i brali chleby i słoninę, dlaczego Józek ćwiczył chłopaków w mustrze. O, gdyby miał tyle lat co Józek, już by się postarał o karabin, już by dał tym czarnym diabłom za swoje, dałby im jeszcze przed tym niż ruski przyjdzie i dobierze się do nich na całego.

O „ruskim" poszeptywali ludzie coraz częściej, nawet nasłuchiwano czegoś co przypominało ubijanie kartofli w cebrze przed południowym karmieniem. Ten dźwięk powtarzał się i narastał, a pilnujący popędzali ludzi i coraz częściej grozili karabinami. Bardzo im się spieszyło, bo i ci dodatkowo sprowadzeni robili ze wszystkimi po nocach.

Na podwórzu kamieni było coraz mniej, już niedługo zaczną brać się do tych największych, w samym środku, tam, gdzie chłopcy chronili się ze swoimi sprawami.

W zagłębieniu po dużym głazie Kowal znalazł małą gumową piłeczkę, Trzymał ją chwilę w zgrubiałych rękach jakby dziwo jakie obracał niemrawymi palcami, aż go spłoszył krzyk „czarnego" — Szneil! Kowal odrzucił gumową piłeczkę za siebie, tam gdzie jeszcze leżały w miodej trawie nietknięte olbrzymy. Odbiła się parę razy i zniknęła w jakiejś wnęce. Stefan widział to i starał się zapamiętać miejsce upadku — pójdzie wieczorem i odnajdzie piłeczkę. Ale piłeczka bez kamieni to połowa dziecięcych przyjemności, bo gdzie będzie znikać strzelona całą siłą lewej albo prawej nogi na bramkę "podlasków", gdzie ją ukryją kamienne duchy, jeśli ci z trupimi główkami na czapkach każą rozbijać kamień po kamieniu i grożą śmiercią za opieszałość przy robocie.

— Stefanek nie gap się, bo ci jeszcze co złego zrobi ten rudzielec przy studni.

Antosiowa wciągnęła chłopca do sieni.

— Oni potłuką nam wszystkie kamienie — powiedział chłopiec — zabiorą i gospodarz nie będzie miał na fundament do nowego domu. Tymi słowami Stefan rozgrzeszył pomysł Floreczka użycia kamieni do planowanej budowy i sam nie wiedząc dlaczego, dom ten wydawał mu się jakby i dla niego stawiany.

— Jeszcze im te nasze kamienie w gardle staną — mściwie szepnęła Antosiowa. Jeszcze i na nich przyjdzie pora już niedługo. A fundamenty zrobi się z nowiutkiej cegły.

— To będziemy mogli bawić się w kamieniach? Antosiowa z przyjemnością spojrzała w uradowane oczy chłopca. Zaskoczyła go i wzbudziła nadzieję, bo wziął ją za rękę i natarczywie domagał się zapewnienia.

— Prawdę mówicie, pani Antosiowa, co? Prawdę?

— Jak mnie tu widzisz, Stefanku, już niedługo.

Floreczkową żonę szanowano we wsi, ale i bano jej się trochę, niektórzy przezywali ją czarownicą, chociaż w biedzie do niej szli po radę. Zapamiętał sobie Stefan przepowiednie kobiety, bo dobrze odgadła niedaleką przyszłość, choć na wojnie się nie znała i goniła chłopaków, jak bawili się w „strzelanego".

Dwa dni potem nadleciały samoloty i rzuciły bomby na rozpoczęte bunkry, niektórzy pochowali się do piwnic, a Niemcy już nie pilnowali ludzi. Ruskie blisko, Panienko Jasnogórska, zaczęło się! To znowu matka uderzyła w lament.

Po samolotach zaczęły bić działa. Ziemia, kawałki belek i kamieni fruwały w powietrzu. O kamieniach na podwórzu Szaniawskich nikt nie myślał...

Antosiowa znowu zapaliła świece i znowu Floreczek z Kowalem szeptali w kącie i wyglądali oknem, a potem nie kryjąc się, wyszli na podwórze popatrzeć na lecące górą samoloty. Ludzi pojawiło się już tyle, że dzień przypominał niedzielne popołudnie. Strzelanina i warkot samochodów ginęły w głośnych rozmowach i oddalały się w stronę zachodu za uciekającymi Niemcami.

Kamienie świeciły w słońcu resztkami krótkiej ulewy i odmienione, z nową mocą tkwiły jak twierdza na Floreczkowym podwórzu. Koło największego stał Stefan i wołał na kolegów...

— Panie inżynierze! Halo! Inżynierze.

Technik Szaniawski szedł pospiesznie od strony domu sołtysa i pokrzykiwał zirytowany.

— Co tam znowu?

— Co znowu, co znowu. Materiału zabrakło. Dzwoniłem do bazy, ale powiedzieli, że na razie nie mają, i że trzeba czekać.

— Uspokójcie się, może coś wymyślimy.

— Inżynierze, ja już wiem. Niech pan spojrzy, tyle tego leży, można by wykorzystać. Da się ludziom parę złotych, połupią i robota pójdzie dalej. Co pan na to, szefie?

Talecki nie odpowiedział od razu, jakby nie zrozumiał, co ma na myśli technik Szaniawski. Popatrzył w stronę olbrzymich kamieni i skaczących po nich kilku małych „indian". Walka była zażarta, zaraz widać, że „indianie' nie dadzą się wyprzeć z twierdzy, chociaż wśród białych byli i starsi chłopcy.

— Myślicie, że łatwo nam przyjdzie zdobyć te kamienie? Przypatrzcie się „indianom", dobrze sobie radzą, musi im zależeć na tej twierdzy. A tak prywatnie, ile wy macie lat, Szaniawski?

Technik spojrzał na szefa zdziwiony, potem odwrócił się w stronę hałasującej gromady. Milczał.

— Pewnie będziemy musieli poczekać na dostawę z bazy — powiedział podnosząc z ziemi kawałek gumy, resztkę tenisowej piłeczki.

— Może zdążą przed wieczorem, to rano da się jakoś nadgonić. Obaj spojrzeli jednocześnie na zegarki, miało się ku zachodowi. Między nimi i gromadką „indian", w połowie odległości, mignął rzucony przez technika, Stanisława Szaniawskiego, kawałek piłeczki — ułamek czasu przeszłego.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY-IRAN (6)

TEHERAN

Dalszy ciąg ze str. 1

Reza Chan nie przeniósł stolicy Persji do innego miasta, zajął się natomiast przebudową Teheranu. Do roku 1925 miasto liczyło około 100 tys. mieszkańców. Życie Teheranu koncentrowało się wokół bazaru. Reza Chan pozostawił bazar, pozostawił dawny pałac królewski Kadżarów — Golestan, a resztę kazał przebudować. Kazał wytyczyć nowe, długie, przecinające się pod kątem prostym ulice. Starał się, aby w trakcie przebudowy Teheran otrzymał charakter europejskiej metropolii.

W trakcie przebudowy miasto zatraciło swój dawny, azjatycki charakter, ale też i nie zyskało nowego. Szybka przebudowa miasta zrodziła też wiele narastających do dziś sprzeczności.

1.

Shahreza Avenue przecina miasto ze wschodu na zachód i przechodzi w Eisenhower Road, którą można dojechać do teherańskiego portu lotniczego. Niedaleko portu na sporym placu stoi Shahyad Arya Mehr Monument. Przewodnik po Iranie przewiduje, że na zwiedzanie Teheranu trzeba przeznaczyć cztery dni, ale zaraz w pierwszym dniu, na samym początku zwiedzania należy zobaczyć Shahyad Monument.

Zobaczyłem ten monument w nocy, jadąc z lotniska i wydało mi się, że jest to niewielka, lekka budowla, swego rodzaju pomnik. Kiedy później zobaczyłem ją w dzień, to pierwsze, nocne wrażenie okazało się bardzo złudne. Jest to wielka, ale atrakcyjnie zaprojektowana budowla, w której mieści się oryginalne muzeum, a ze szczytu której można obejrzeć panoramę Teheranu.

Najpierw trzeba jednak wejść do muzeum. Aparaty fotograficzne zostawia się w przechowalni, wykupuje się bilety i wchodzi się na transportery, takie same, jakie w nowoczesnych dworcach lotniczych przewożą pasażerów korytarzami z jednej do drugiej hali. Transporter wiezie widza przez ciemne sale, na ścianach których ukazują się obrazki z przeszłości i teraźniejszości Iranu. Towarzyszy temu muzyka i komentarz. Słowem krótki wykład dziejów Iranu za pomocą obrazu, ruchu, słowa i muzyki.

Iran zamieszkują różne plemiona nieraz do siebie nieprzychylnie nastawione. Mohammad Reza Pahlavi — cesarz Iranu — stara się prowadzić taką politykę, aby niwelowała ona te różnice i animozje i aby w oparciu o przeszło dwu i pół tysięczną tradycję państwa perskiego mogło dojść do społecznej integracji. Właśnie wnętrze Shahyad Monument jest przykładem propagandy uprawianej z takich właśnie pozycji.

Po przejechaniu przez muzeum trzeba koniecznie wjechać na szczyt budowli, aby popatrzeć na panoramę Teheranu. Nie zapomniano o czekających na windę, bo na szczyt Shahyad Monument wjeżdża się windą. Kolejka jest spora. Przeważają Irańczycy, którzy przyjechali do Shahyad Monument całymi rodzinami. Czekając więc na windę, mogą obejrzeć sobie kilka zabytków z pełnej chwał przeszłości Persji. I przyznaję, że największe wrażenie na mnie zrobili właśnie ci ludzie, którzy w nabożnym skupieniu, nieraz chyba i nie najlepiej czytający, oglądali stary egzemplarz Koranu, kopię zabytkowego dokumentu, fragment bardzo starej rzeźby.

Ze szczytu Shahyad Monument widać miasto otoczone od północy górami, a od południa pustynią. Pustynia zresztą jest tu wszędzie, między ostatnimi domami miasta a górami, między startowymi pasami lotniska. Miasto jest ogromne. Ciągnie się kilometrami. Przewodniki podają, że leży na wysokości 1200 metrów nad poziomem morza, ale dzielnica wystawnych rezydencji — Szemiran leży już na wysokości 1700 metrów. Na tej wysokości znajduje się też pałac cesarski oraz letnie rezydencje niektórych ambasad, w tym i ambasady ZSRR.

Ze szczytu Shahyad Monument widać więc to miasto jak na dłoni. Ulice przepełnione samochodami. Zieleń nielicznych parków i alei. Płaskie dachy domów. Wieżowce i morze okalających je niskich budynków. Ze szczytu Shahyad Monument nie widać powszednich problemów Teheranu.

2.

Muzeum i park Golestanu przewodnik po Iranie nakazuje zwiedzać następnego dnia. Reza Chan przebudowując Teheran zachował królewski pałac w Golestanie. Dziś jest to muzeum, ale też Mohammad Reza Pahlavi korzysta z usług dawnego pałacu Kadżarów. Regularnie na Now Ruz, czyli 21 marca według naszego kalendarza, kiedy to w Iranie zaczyna się nowy rok, w pałacu królewskim w Golestanie cesarz przyjmuje życzenia od członków korpusu dyplomatycznego. A poza tym pałac królewski Kadżarów służy też do spotkań z zagranicznymi dostojnikami, którzy odwiedzają Iran.

Przez cały pozostały czas można przyjść sobie tutaj zupełnie swobodnie i po wykupieniu biletu, pospacerować po królewskim parku. Obejrzeć tron królewski, stojący we wnęce pałacowej, wejść wśród tysiąca migotliwych kryształowych płytek do sali tronowej, gdzie w gablotach leżą dary od królów i cesarzy całej Europy. Jest więc tu porcelana, malachit, zegary, wazy, obrazy i wiele innego zabytkowego dobra. A wszystko ponumerowane, opisane świadczy o chwale dawnej Persji. Jest też tron sporządzony przez irańskich rzemieślników na rozkaz Agi Mohammada, założyciela dynastii Kadżarów. Stało się to po rozbiciu „pawiego tronu" przez morderców szacha Nadira (1736—1747). Teh tron — nazwany tak od dwu ptaków, całych ze złota i drogich kamieni, które go zdobiły — Nadir przywiózł z Indii. Mordercy szacha rozbili tron i zabrali drogocenne kamienie. Aga Mohammad odzyskał kamienie i kazał zrobić nowy tron.

Przepych sali tronowej męczy i nuży. Okazuje się, że europejscy królowie byli mało pomysłowi w dawaniu podarków. Przy okazji można coś powiedzieć o ich gustach. Rosyjscy carowie specjalizowali się w podarkach z malachitu. Francuscy królowie, cesarz Austrii, królowie pruski i angielski — wszyscy uparli się, żeby posłać szachowi porcelanę. Najładniejszą posyłali jednak Francuzi.

W parku można odetchnąć trochę chłodem w cieniu drzew nad wolno płynącymi strumykami i wodą sadzawek. Sadzawki wyłożono niebieską majoliką, co je wyraźnie odcina od szarzyzny pyłu i kurzu pałacowych alejek. Zieleń tu jak wszędzie w Teheranie zszarzała. Ale ten kontrast kolorów nadaje parkowi swoistego uroku, budzi nastrój spokoju. Nie trzeba się więc śpieszyć, można jeszcze obejrzeć dawny harem, w którym mieści się biblioteka i muzeum etnograficzne.

A kiedy wyjdzie się z pałacowego ogrodu, upał jakby stał się większy.

3.

Jeszcze jedno spotkanie z historią. Tym razem już tą najnowszą. Czasy drugiej wojny światowej. Teheran staje się miejscem do którego ściągają niemieccy „turyści". Jak twierdzą radzieccy historycy, latem 1941 roku przybyło do Iranu około 11 tys. ton niemieckiego uzbrojenia. Był w tym czasie w Teheranie szef niemieckiego wywiadu, admirał W. Canaris.

Z Iranu blisko do pól naftowych Baku. Przez Iran szły szlaki komunikacyjne aliantów. W Iranie wreszcie była nafta. Alianci więc nie mogli tej sprawy bagatelizować. Po kilku ostrzeżeniach wojska brytyjskie i radzieckie wkroczyły do Iranu. Było to 25 sierpnia 1941 roku. Ale i to nie na wiele się zdało. 17 września 1941 roku wojska brytyjskie i radzieckie wkroczyły do Teheranu. 16 września 1941 roku abdykował Reza Chan na rzecz swego 22-letniego syna — Mohammada Rezy Pahlavi. Reza Chan zmarł w 1944 roku.

Stosunki między aliantami a Iranem ułożyły się pomyślnie i 27 listopada 1943 roku mogła w Teheranie odbyć się konferencja Wielkiej Trójki: Józefa Stalina, Winstona Churchila i Franklina D. Roosevelta. Przywódcy trzech mocarstw zamieszkali w swoich ambasadach, ale ze względu na bezpieczeństwo prezydenta USA, zdecydowano, że przyjmie on zaproszenie Józefa Stalina i przeniesie się do ambasady ZSRR. Ambasady Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii sąsiadują ze sobą przez ulicę i ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo Wielkiej Trójki mogli łatwo czuwać nad ich spokojem i zdrowiem.

W historii drugiej wojny światowej Teheran znaczy bardzo wiele. Tutaj zapadły decyzje, które zaważyły później na losach Europy i świata, stworzyły płaszczyznę do dalszego porozumienia, które w rezultacie zadecydowało o dalszym biegu drugiej wojny światowej.

Dla współczesnego Teheranu są to już tylko nazwy ulic. W pobliżu ambasady radzieckiej jest ulica Stalina — Stalin Street i ulica Churchila — Churchil Street. A w pobliżu ambasady USA ulica Roosevelta — Roosevelt Awenue.

4.

Według danych z 1973 roku Teheran miał 3 774 tys. ludności. Obecnie mówi się już o 4 milionach. Ogromne miasto, które na Europejczyku sprawia niesamowite wrażenie.

Z samolotu podchodzącego nocą do lądowania można obserwować bajecznie oświetlone fragmenty Teheranu. Girlandy kolorowych lampek, neony, reflektory. Ciągnące się kilometrami długo jasno oświetlone ulice. I całe kwartały miasta mniej oświetlone, ciemne, ponure. Ma się wrażenie, że samolot ląduje w kraju z baśni, w którym trwa nieustanny festiwal.

Ale oto nadchodzi dzień, gasną lampy i słońce ujawnia codzienność Teheranu. A więc brak komunikacji miejskiej. Posiada wprawdzie Teheran kilka linii autobusowych, jednakże częściej można spotkać na ulicy grupy pasażerów cierpliwie oczekujących autobusu niż kursujące „piętrusie". Stolica Iranu będzie posiadać metro. Jego budowę powierzono francuskiej firmie, ale prace ukończy ona dopiero za jakieś 10, 15 lat. Nie najlepiej pracują też teherańskie telefony. Aby więc poruszać się po wielkim mieście trzeba posiadać samochód. I jest w Teheranie milion samochodów. Powoduje to, że w godzinach szczytu tworzą się na ulicach gigantyczne korki.

Wiózł mnie kiedyś wieczorem ulicami Teheranu irański kierowca. Staliśmy co chwila w kolejnym zatorze, aż się wreszcie Irańczyk zdenerwował, wjechał w jakąś ciemną ulicę, wzniósł tuman kurzu samochodem rzucało na lewo i prawo, jako że jechaliśmy po rozkopanych ulicach. Przeskakiwaliśmy jakieś rowy, roztrącaliśmy deski. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, kierowca powiedział triumfująco:

— Tylko pięć minut. A gdybym jechał normalnie, to jeszcze stalibyśmy w jakimś zatorze.

Było to pod koniec sierpnia.

— **Proszę poczekać do połowy września** — powiedział mi jeden z mieszkańców Teheranu. — **Jak się zacznie rok szkolny. Wtedy rano i po południu lepiej nie wyjeżdżać samochodem na ulicę. Do niedawna dowożono dzieci szkolnymi autobusami, ale było sporo wypadków, więc zadecydowano, że teraz każdy rodzic na własną odpowiedzialność ma dostarczyć dziecko do szkoły.**

A co robią ci, którzy nie mają samochodów? Stają na skraju jezdni i kłaniają się przed przejeżdżającymi samochodami. Tak to wygląda, choć oni tylko schylają się, aby ruchem ręki czy głowy „zapytać" kierowcę, czy by ich nie podwiózł. Turysta, dysponujący większą ilością gotówki może sobie wynająć taksówkę. Ale to jest drogi interes. Dużo taniej kosztuje taksówka, których tu pełno na ulicach. Ale kursują one po określonych trasach i kierowca dopycha chętnych do granic wytrzymałości auta. Trzeba dobrze znać miasto, aby wiedzieć, w którym miejscu należy wysiąść i przesiąść się do innej taksówki.

Pod jednym względem Teheran przypomina trochę nasze, polskie miasta. Pod względem tak popularnych u nas „wykopków". Rozkopywany jest nieustannie, ale teherańczycy powinni z tego się tylko cieszyć, jako że dzieje się to w wyniku zakładania kanalizacji, rozbudowy sieci wodociągowej. Przystąpiono też do budowy przejść podziemnych.

Władze miasta rozumieją, że przy gwałtownym, wręcz żywiołowym wzroście ilości mieszkańców niemożliwe jest dalsze utrzymywanie wyposażenia komunalnego Teheranu na obecnym poziomie. Przeludnieniu wielkich ośrodków miejskich przeciwdziała się dążąc do właściwego rozwoju ośrodków mniejszych, do których napływałaby ludność ze wsi. Ale to jest sposób na zmniejszenie napływu ludności do miast. Co robić natomiast z tymi, którzy już w tych miastach się osiedlili?

Dla tych ludzi trzeba Teheran unowocześniać. Szuka się więc dobrych wzorów tam, gdzie były podobne kłopoty i problemy. Na początku sierpnia 1976 roku bawił na przykład w Warszawie prezydent Teheranu — **Gholam Reza Nikpay.** Był gościem prezydenta Warszawy — **Jerzego Majewskiego.** Został przyjęty też przez przewodniczącego Rady Państwa — **Henryka Jabłońskiego.** Irańskiego gościa interesowały nasze sposoby rozwiązywania trudności komunikacyjnych i komunalnych.

5.

Jeden ze szwajcarskich banków obliczył koszty utrzymania i płace w 41 miastach świata. Znalazły się na tej liście miasta europejskie, azjatyckie, amerykańskie. Najdroższym miastem okazało się Tokio. Najtańszym — Bogota. W Bogocie tanie są hotele i restauracje, tania konfekcja, niskie koszty utrzymania. W „czołówce" najdroższych miast świata znalazły się między innymi: Tokio, Manama, Oslo, Sztokholm, Zurych...

A Teheran?

Teheran zajmuje 29 pozycję na liście szwajcarskiego banku. Taniej, niż w Teheranie jest w Atenach, Singapurze, Dublinie, Rio de Janeiro, Johannesburgu, Londynie, Madrycie, Istambule, Mediolanie, San Paulo, Manili i Bogocie.

Teheran jest niewątpliwie miastem kontrastów. Eric Rouleau tak scharakteryzował Teheran w „Le Mondzie" z początku października 1976 roku:

„W północnej części — Szemiran, na pokrytych zielenią wzgórzach mieszczą się wystawne rezydencje, z reguły wyposażone w baseny. Położona nisko część południowa tonie w ściekach spływających z eleganckich dzielnic a przyprawiające o mdłości wyziewy mieszają się z kwaśnym zapachem dymu wydzielanego przez pobliskie fabryki..."

Pahlavi Avenue biegnie z południa na północ w stronę gór. Ciągnie się kilometrami, a po obu stronach wysadzana jest wysokimi drzewami. Drzewa te rosną w szerokim kanale, którym o określonej porze płynie z góry woda. Kanał zamienia się wtedy w rwący strumień. Woda dostarcza wilgoci drzewom i zabiera z sobą wszelkie brudy. Takie rwące o określonej porze potoki są **nie** tylko przy Pahlavi Avenue.

6.

Wszyscy mnie wielekroć pytali:

— **Czy był pan już na górce magnetycznej?**

Jest to osobliwość Teheranu, którą nawet pokazywała polska telewizja. **Krzysztof Zanussi,** który do Teheranu przyjechał z okazji wyświetlania jego filmu, na magnetyczną górkę pojechał o pierwszej w nocy. Sam wszystko sprawdził, czy nie ma w tym jakiegoś podstępu.

Pojechałem i ja na magnetyczną górkę. Trochę ją sobie inaczej wyobrażałem. Okazało się że jest to górka niewielka, przez którą prowadzi dwujezdniowa droga. Pojechaliśmy dobrze wypełnionym samochodem. Kiedy znaleźliśmy się przed górką, silnik został wyłączony a mimo to samochód wolno toczył się w górę. Zjechaliśmy później kawałek w dół. Znów silnik przestał pracować a samochód sam jechał do tyłu, pod górę.

Byłem więc na magnetycznej górce. Sam też wszystko sprawdziłem. Nie ma w tym żadnego oszukaństwa. Po prostu anomalia magnetyczna, która ciągnie żelastwo w górę. Ale ciekawe. Warto to zobaczyć.

7.

Na północ od Teheranu, w stronę gór Elbrus, rozciąga się gotowe miasteczko olimpijskie. Znajdują się tutaj nowoczesne obiekty sportowe, a między nimi stadion olimpijski mogący pomieścić 100 tys. widzów. Jak wiadomo w 1980 roku kolejne igrzyska olimpijskie odbędą się w Moskwie. Natomiast Iran zgłosił w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim chęć i gotowość zorganizowania igrzysk olimpijskich w 1984 roku w Teheranie. I wszystko wskazuje na to, że otrzyma na to zgodę.

•

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PLASTYKA

SZTUKA WALCZĄCA

W literaturze poświęconej martyrologii [illegible] narodu polskiego i polskiego żołnierza istniała do tej pory dotkliwa i poważna luka. Wypełniła ją w części, wydana przed kilkoma tygodniami, książka Janiny Jaworskiej „Polska sztuka walcząca 1939—1945". Już po pobieżnym zapoznaniu się z tekstem i wcale bogatym materiałem ilustracyjnym zastanawiać i zdumiewać musi fakt dotychczasowego braku jakiegokolwiek opracowania, sumarycznego czy fragmentarycznego, tego tematu. I z tego już względu książka Janiny Jaworskiej zasługuje na uważne i życzliwe przyjęcie. A sam temat nie jest ani blahy, ani marginesowy. Los narodu po wrześniu 1939 roku przez wszystkie mroczne lata wojny i okupacji, był także losem artystów. Niemcy przyszli z konkretnymi, uprzednio dokładnie opracowanymi planami wyniszczenia duchowego i fizycznego naszego narodu. Jednymi z pierwszych zarządzeń wydanych przez okupanta były zarządzenia określające restrykcje wobec polskiej kultury i sztuki.

W styczniu 1940 roku wydano zarządzenia dotyczące spisu oraz „zabezpieczenia dzieł sztuki i zabytków kultury", które były niczym innym, jak tylko oficjalnym zagwarantowaniem prawa do bestialskiej i barbarzyńskiej grabieży tego, co zagrabić się dało i ślepego zniszczenia tego, czego nie można było wywieźć. Następne, wydane w tymże roku zarządzenia, odnosiły się do życia kulturalnego i „odpowiedniego" traktowania polskich dóbr kultury i do działalności kultralnej wszystkich twórców ze wszystkich dziedzin sztuki, która podlegać miała ścisłej administracyjnej i policyjnej kontroli okupanta.

Niezwykle szybko okazało się, że mimo restrakcji, zakazów, nakazów, prześladowań, więzień i śmierci — w okupowanym kraju istnieje żywe i twórcze konspiracyjne życie kulturalne, skupiające wszystkie bez wyjątku dziedziny sztuki, która stała się rychło jeszcze jedną formą sprzeciwu wobec zaistniałej sytuacji, a w wielu wypadkach orężem walki na równi z karabinami i butelkami z benzyną. W nurcie podziemnego życia kulturalnego znaleźli się również artyści plastycy. Jedni poprzez kontynuację własnej twórczości starali się zachować ciągłość naszej kultury i tradycji artystycznej. Inni, ściśle związani z konspiracją, walczyli z bronią w ręku lub oddali swoje umiejętności i talent walce z najeźdźcą.

Niezależnie od miejsca i okoliczności, w jakich powstawała polska sztuka lat wojny, była ona zawsze dowodem świadomości narodowej, buntu, woli walki, była świadectwem godności ludzkiej, wiary w człowieka i w ostateczne zwycięstwo. Niezależnie od faktu, czy artyści plastycy walczyli z bronią w ręku, czy przy pomocy ołówka lub pędzla w podziemnej prasie, na murach miast w obozach ofiarnych, w tajnych drukarniach, postawa ich była zawsze godna, pełna oddania i poświęcenia. Zginęło ich wielu, bardzo wielu. Zniszczeniu uległa też ogromna większość dzieł, które rodziły się często w warunkach niebywale trudnych, dzieł, których zniszczenie bezpowrotnie zubożyło nasza skarbnice narodową. Te, które ocalały, świadczą zdumionym oczom naszym, że „polska sztuka nie została unicestwiona przez wroga, że istniała przez cały czas wojny i utrzymała ciągłość kultury i tradycji naszego narodu".

Odegrała ogromną rolę polityczną i wychowawczą w walce z hitlerowskim najeźdźcą. „Ośmieszała wroga i wskazywała zbliżającą się jego nieuchronną klęskę, podnosiła na duchu społeczeństwo, pomagając przeżyć ciężkie dni okupacyjnej grozy, długoletnie osamotnienie w oflagach, podnosiła poczucie godności i człowieczeństwa w obozach koncentracyjnych, zagrzewała do walki żołnierzy na froncie". Powstawała w obliczu śmierci i bezprzykładnego cierpienia, w okopach i przedsionkach komór gazowych i zdumiewa i budzi szacunek swoim ogromnym zaangażowaniem. „W tym tkwi jej główna siła i nieprzemijająca wartość, która przesłania wszelkie kryteria krytyczne i estetyczne. Większa część dzieł plastycznych z lat wojny odznacza się prawdziwym artyzmem.

Książka Janiny Jaworskiej wprowadza nas w podziemie walczące, ukazuje rolę i znaczenie rodzącej się tam sztuki, przypomina nazwiska ludzi, którzy tworzyli tę sztukę, ale też zaznajamia nas z całym skomplikowanym systemem pomocy dla artystów, którzy z takich czy innych względów nie mogli sami rozwiązać problemów wyżywienia, mieszkania, ubrania, materiałów do twórczości artystycznej. Jednocześnie zwraca uwagę na niezwykłe poświęcenie wielu plastyków przy ratowaniu dóbr naszej sztuki i kultury, przy katalogowaniu zaginionych, zagrabionych i zniszczonych dzieł.

Opracowania Janiny Jaworskiej nie można uważać za wyczerpujące. Ukazało się w serii Sztuka Polska, Wydawnictw Artystycznych i Filmowych w formie małej książeczki. Sadze, że temat „polska sztuka walcząca" wymaga opracowania szerszego i bogatszego. Ocalały dzieła, które należałoby uprzystępnić w formie albumowej. Są rysunki z frontów korespondentów wojennych (Feliks Topolski) oraz ludzi, którzy rysowali kronikę walki w okopach (Aleksander Rafałowski), w więzieniach (Maja Berezowska), w obozach koncentracyjnych (Ksawery Dunikowski). Jest satyra Stanisława „Miedzy" – Tomaszewskiego i innych. Są plakaty z czasów wojny. Wiele dzieł uległo zniszczeniu, ale tym, co ocalało, trzeba się zająć, wydać, upowszechnić. Zacieraliśmy ślady wojny na ziemi naszej, ale nie zacierajmy pamięci o ludziach, którzy walczyli, tworzyli i dawali świadectwo walki i cierpienia innych.

Sztuka właśnie, do zachowania i utrwalenia tej pamięci, jest najbardziej predestynowana.

ANDRZEJ GRUN

Janina Jaworska „Polska sztuka walcząca 1939—1945", Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa 1976.

TEATR

REFLEKSJE

„Świat Gombrowicza to świat, który prowadzi ku wnętrzu", ku analizie ludzkiej egzystencji w ciągłym stawaniu się kimś innym. „I nie będę wracał do rodziny. Ja już nie mam rodziny. Ja już nie jestem synem". („Ślub"). A więc u W. Gombrowicza rodzice nie są rodzicami, służąca nie jest służącą, kochanka nie jest kochanką itd., itd.

Henryk — żołnierz śni. Czy w świecie przez niego śnionym istnieje on sam, czy on tylko siebie i innych stwarza. Stworzył ojca — króla który stworzył jego syna — księcia. Człowiek stworzony jest przez człowieka — oto psychologia „gęby", którą sobie sami nieustannie przyprawiamy. Krystyna Skuszanka w swojej inscenizacji „Ślubu" Witolda Gombrowicza zróżnicowawała dwa światy, ten śniony i ten rzeczywisty. Świat śniony tworzy Henryk — żołnierz. Świat rzeczywisty, to świat wojny, pełen trudnych spraw, nieludzkiego okrucieństwa, ale także prawdziwych, sprawdzonych przyjaciół, jak u Szekspira w „Hamlecie". Chociaż przyjaźń tę trzeba odrzucić, aby walczyć samotnie i przywrócić świat do równowagi tzn. „pogodzić elementarną sprzeczność bytu". Świat śniony, to świat przeszłości, nieuchwytny, trudny do precyzacji idei, świat. Ale Krystyna Skuszanka próbuje uchwycić problematykę filozoficzną. Uwypukla pascalowską koncepcję „człowieka, jako myślącej trzciny". „Już od dziecka czułem się myślącą trzciną i cechował mnie pociąg do spraw podnioślejszych" („Ślub"). Określa to jednoznacznie przewodnictwo Pascala w poglądach filozoficznych autora „Ślubu", dla którego egzystencja ludzka była tylko tragicznym losem człowieka zagubionego wśród nieskończoności. Tę postawę Henryka, alter ego Gombrowicza, ujawnia Krystyna Skuszanka w planie snu, dając do zrozumienia, że jest to jeszcze jedna „gęba", którą tym razem przyprawia widzowi reżyser. Bowiem rzeczywistość u K. Skuszanki jest inna. Pozwala ona człowiekowi kształtować świat, wpływać na jego bieg, ale także czyni go świadomym determinacji wojny i odpowiedzialności za człowieczeństwo. A więc dwie postawy filozoficzne, ta ze snu i ta ze świata rzeczywistego. Klamra jest, jako się rzekło, rzeczywisty świat wojny. Tak się spektakl zaczyna i tak kończy. Dualizm świata sygnalizuje K. Skuszanka walącą się dekoracją, światłem, kostiumami, rekwizytami i, przede wszystkim, stylem aktorskich interpretacji. Ze świata rzeczywistego pochodzą tylko Henryk (Krzysztof Jędrysek) i Władzio (Wojciech Pisarek), żołnierze we Francji podczas ostatniej wojny. Władzio, przyjaciel, najbliższy druh wojennych wędrówek ginie. Henryk zostaje sam. „Pustka. Pustynia. Nic. Ja sam tu jestem..." („Ślub"): I wtedy zjawia się świat snu, marzeń sennych i jego postacie. Świat ten narzuca inną konwencję, bardziej jaskrawą i ostrą w kompozycji rysunku postaci. Sztuczny język i artykulacja. Przesada. Celuje w tym Mikołaj Grabowski (Ignacy, ojciec, król), który precyzyjnie toczy grę masek, będąc twórcą prowadzonej przez Henryka — księcia syna, gry. Krzysztof Jędrysek i Wojciech Pisarek przyjmują inną koncepcję. Przeważa w niej realistyczna motywacja psychologiczna, która zmienia się wraz z konwencją i przejściem w stan snu. Podjęta, w stworzonym przez siebie świecie, zabawa w ślub i gra z Pijakiem (Paweł Galia) skłania Krzysztofa Jędryska do ujęcia roli Henryka w stylistyce groteski, aby tym mocniej skontrastować postać w stosunku do Pijaka Pawła Galii, który z kolei siłę intelektualną świata przeciwstawił niezdecydowaniu wrażliwego Henryka. I tak oto pojawia sedno wykładni spektaklu Krystyny Skuszanki. Polega ono, jak się wydaje, na konflikcie Henryka z „podświadomym", na rozprawieniu się z własnym wnętrzem, na penetracji własnego wnętrza. Jest wreszcie spektakl K. Skuszanki dramatem samego W. Gombrowicza, artysty, który zadając pytania wiedział, że już nie znajdzie na nie odpowiedzi.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Witold Gombrowicz „Ślub", reżyseria: Krystyna Skuszanka, scenografia: Wojciech Krakowski, muzyka: Adam Walaciński. Gościnne występy Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa na scenie Teatru Nowego w Łodzi dnia 12.X.1976 r.

GOSPODARKA

IRENEUSZ DOMIENIK

MISTER HIT I INNI

„W zasadzie wybór jest dość duży, brak tylko gramofonów średniej klasy..."

Jedynym producentem gramofonów w Polsce są Łódzkie Zakłady Radiowe „Unitra — Fonica", mieszczące się w Łodzi przy ulicy Wróblewskiego 16-18, które miały wątpliwą przyjemność w „Sztandarze Młodych" z 2 września br. znaleźć się w rubryce pod znamiennym tytułem: „Tak się rodzi bubel".

Elżbieta Szczurowska w reportażu „Samograje" napisała:

„Kiedy pojawił się Mister Hit, Bambino musiał ustąpić mu miejsca. Bambino — masywny, w walizkowej oprawie z ceraty, miał się tak do lekkiego, z kolorowych tworzyw sztucznych Mister Hita, jak wiejski elegant do żurnalowego modela prezentującego najnowszą modę. O karierze Hita zadecydowała przede wszystkim jego zewnętrzna uroda: jakość odtwarzanego dźwięku w obu gramofonach była niemal identyczna".

Reportaż Elżbiety Szczurowskiej był dla „Fonici" w całym tego słowa znaczeniu negatywny i przyznać trzeba, że od chwili ukazania się go kierownictwo Łódzkich Zakładów Radiowych ostrożnie i z łatwo wyczuwalną nieufnością rozmawia z dziennikarzami. Czy są urażeni? Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne i nie ma chyba w tej ich reakcji nic szczególnego.

— Dobrze chociaż, że artykuł prasowy żyje w świadomości czytelników nie dłużej, jak dwie godziny — pociesza się najwidoczniej dyrektor techniczny „Fonici" — **Andrzej Skoneczny.** Z tymi dwiema godzinami troszkę przesadza, bo jak sam mówił, przyjechała potem telewizja z Warszawy, aby pokazać ich „jako brakorobów". Dyrektor Andrzej Skoneczny dodaje:

— Interwencja prasowa przydaje się jednak, bo kiedy ludzie w gazecie przeczytają, że to naprawdę z ich winy dzieje się źle: tak, czy inaczej, bardziej się wtedy przejmują niż naszym codziennym gadaniem.

OPINIE KLIENTÓW

Zrobiłem mały rajd po łódzkich sklepach WPHW Oddział Handlu Art. Wyp. Mieszkań (takie jest przydługie brzmienie pieczątki), specjalizujących się w sprzedaży sprzętu radiowo-telewizyjnego, gdzie przeprowadzałem rozmowy z personelem i napotkanymi klientami. I tak, na przykład w sklepie nr 642 mają do zaoferowania następujące gramofony: WG 550, 551, i 552, WG 510 i 511, WG 414 i 415, WG 417, WG 610 — „Fonomaster" i G 601. Dla niewtajemniczonych dodam, że symbol „WG" oznacza gramofon ze wzmacniaczem, „G" — bez. W zasadzie wybór jest dość duży, brak tylko gramofonów średniej klasy bez wzmacniaczy i to brak w skali całego kraju. Zapytany o ocenę tego stanu rzeczy, przedstawiciel kierownictwa sklepu odpowiada:

— W ostatnim okresie jakość produkowanych przez „Fonicę" gramofonów uległa dość wyraźnej poprawie. Dotyczy to zwłaszcza naszego gramofonu najwyższej klasy WG 610, który został korzystnie zmodernizowany. Niekiedy odczuwamy tylko brak części, gdy klient zgłosi nam awarię hydrauliki ramienia. Zupełnie źle jest natomiast z gramofonami bez wzmacniaczy: G 601, stereofoniczny, ale bardzo drogi, niczego nie załatwia — po prostu nie bardzo ma z czym współpracować. Wysokiej klasy odbiorniki radiowe „Hi-Fi", takie jak „Meluzyna" i „Elizabeth" są właściwie nieosiągalne, a wzmacniaczy sterofonicznych o mocy do 20 W też nie ma w tej chwili na rynku. Jeśli mamy jakieś trudności ze sprzedażą, to dotyczą one gramofonów typu WG 414, 415 i WG 417, które zbyt często wymagają poprawy na miejscu, w sklepie.

To ostatnie stwierdzenie doskonale koresponduje z przytoczonymi przez Elżbietę Szczurowską liczbami:

„Według danych Biura Jakości Towarów działającego przy MHWiU — ponad 5 procent gramofonów WG 417 i WG 415 oraz 6 procent WG 551 schodzących z taśmy produkcyjnej w partiach badanych przez kontrolerów biuro miało dyskwalifikujące je braki".

Personel innych sklepów nie miał żadnych istotniejszych zarzutów pod adresem znajdujących się aktualnie w sprzedarzy gramofonów, ale często opinie były sprzeczne. W jednym z salonów radiowych przy ulicy Piotrkowskiej, technik gorąco polecał mi WG 417, jako najsolidniejszy gramofon popularny, gdzie **„właściwie nic nie może się zepsuć"**, choć jest to ten gramofon, który znalazł się na „czarnej liście" sklepu nr 642. Jeśli chodzi o estetykę wykonania, opinie były jednoznacznie pozytywne, wyłączając WG 552, który niekiedy krytykowano za jaskrawy kolor obudowy — trochę może zbyt ekstrawagancki i „niemebłowy".

OPINIA KONSTRUKTORA

Szczególną uwagę przywiązywałem do tego, co mówiono o WG 610, bo zafunować sobie „Fonomaster", to w końcu niebagatelny wydatek i trzeba mieć najwyższe wymagania. Główny konstruktor „Fonici", mgr. in. **Witold Bohdziun** w rozmowie ze mną nie krył zadowolenia z udanej modernizacji tego gramofonu, może nawet więcej niż modernizacji. Zmieniono tam napęd z elektryczno-mechanicznego na sterowany elektronicznie i wprowadzono wiele innych usprawnień, mających istotny wpływ na jakość odtwarzanego dźwięku. Widać wyraźnie, że „Fonomaster" jest oczkiem w głowie inżyniera Bohdziuna:

— Jeśli mi tylko czas pozwoli, chciałbym dalej pracować nad tą wersją gramofonu — mówi nieledwie z rozmarzeniem. **— To, że modernizacja WG 610 w pełni się powiodła, potwierdzają użytkownicy gramofonu — nawet wtedy, kiedy coś tam krytykują. Wiadomo przecież, że to, czego krytyka dotyczy, może być ekwiwalentem jakiejś pośredniej pochwały. W tym zaś konkretnym przypadku chodzi o tak drobne „usterki", że ich szybkie usunięcie nie musi nawet zakłócić procesu technologicznego. Żeby nie być gołosłownym: w stosunku do WG 610 spotkałem się z dwoma zarzutami. Po pierwsze, że płyta czołowa gramofonu jest trochę za słabo zamortyzowana (odizolowana od podłoża), co może powodować np. przy współpracy z magnetofonem nagranie się zakłóceń z obrębu pokoju, w którym ta współpraca się odbywa. Trzeba jednak zaznaczyć, że pokój mieszkalny, to nie studio i gramofon nawet najwyższej klasy studia nie zastąpi i nie takie jest jego zadanie. Gdy więc zależy nam na czystości dokonywanego nagrania, powinniśmy po prostu starać się eliminować wszelkie zakłócenia i wibracje, nie chodzić, itd. Drugi zarzut jest trochę poważniejszy, ale wypowiedział go znikomy procent użytkowników. Mianowicie: niekóre egzemplarze WG 610 mają drobne nierówności talerza lub gumowego krążka, co przy tak minimalnym, jak w „Fonomasterze" nacisku igły, może powodować podbicie do góry ramienia i wyskoczenie igły z rowka.**

Produkcja gramofonów, wzmacniaczy, automatów muzycznych i elektronicznych sterowników świateł jest produkcją trudną. Wymaga wielkiej precyzji i solidności wykonania. Zauważa się ostatnio wzrost jakości wyrobów „Fonici". Ale to nie może jeszcze przesłonić niedociągnięć.

Występują one silnie w gramofonach bez wzmacniaczy, zwłaszcza w gramofonach popularnych. Poinformowano mnie w „Fonice", że jest w przygotowaniu gramofon bez wzmacniacza G 417, który ukaże się w przyszłym roku w ilości około 12 tys. sztuk. G 417 ma mieć poprawione parametry, tzn. choć popularny w założeniu będzie się mieścił w górnej granicy wymagań, przewidzianych dla gramofonów tej grupy. Prócz tego w przygotowaniu są gramofony „Artur — Stereo"i stereofoniczny bateryjno-sieciowy „Camping", oba z serii „Wg".

DLA KLUBÓW

Parę słów należy się opracowanej w Łódzkich Zakładach Radiowych dyskotece przenośnej noszącej symbol ZM 40F. Jest to zestaw (Z) muzyczny (M), stereofoniczny (F) — podaję znaczenie symboli literowych — który może współpracować z elektronicznym sterownikiem świateł, również produkowanym przez łódzką „Fonicę". Oferta, choć wydaje się bardzo atrakcyjna dla wszelkiego rodzaju klubów, domów kultury i lokali rozrywkowych, jest mało rozpropagowana w kraju.

W dalszym ciągu jednak u krajowego odbiorcy największą i niesłabnącą popularnością cieszą się mocno już przestarzałe w konstrukcji automaty muzyczne, czyli powszechnie znane „grające szafy", gdy tymczasem zestaw muzyczny ze sterownikiem świateł daje wspaniałe efekty świetle na parkiecie i może być piękną atrakcją tanecznego programu. Cena jego nie przekracza nawet możliwości skromnego klubu, jeżeli tylko uwzględni taki wydatek w swoim rocznym budżecie. Sterownik świateł — jak powiada inżynier Bohdziun — może współpracować z każdym urządzeniem muzycznym, a więc nawet zespołem czy orkiestrą wykorzystującą wzmacniarz akustyczny, co jest teraz w lokalach rozrywkowych prawie zawsze praktykowane. Sterownik świateł powoduje zmianę natężenia światła i jego barwy w zależności od tonów i natężenia muzyki. Poważną zaletą produkowanego obecnie zestawu muzycznego ze sterownikiem jest właśnie możliwość jego przenoszenia; urządzenie jest niewielkie, po złożeniu wielkości walizki.

CZY TYLKO NIEPOROZUMIENIA?

Klient wchodzi do salonu radiowego, rozgląda się wśród wystawionych na półkach urządzeń i wybiera w końcu, najczęściej kierując się „kryterium" optycznym, jakieś radio czy adapter stereofoniczny. Sprzedawca prezentuje urządzenie i zabiera się do pakowania...

— Po co mi dwa głośniki (kolumny głośnikowe)? — mówi klient — **Zawsze chcecie wszystko wypchnąć ze sklepu, żeby tylko człowiekowi wyciągnąć pieniądze!**

Co ma robić w takim przypadku „sprzedawca"? Czy ma przez godzinę, może dwie tłumaczyć laikowi zasadę stereofonii, którą ten zna tylko z nazwy? Staje się zrozumiałe, że personel sklepów narzeka na brak jakichś popularnych ulotek w takich ilościach, żeby klient mógł którąś wziąć ze sobą do domu i przed ostateczną decyzją spokojnie przestudiować. Obecnie ulotki i instrukcje dla użytkowników znajdują się tylko w pudełkach ze sprzętem. Dlaczego? Przecież postęp techniki powinien pociągnąć za sobą rozwój informacji podanej w przystępnej formie i reklamy.

Teraz uwaga z drugiej strony lady: jeżeli „Fonomaster" jest w jednym sklepie sprzedawany na kredyt PKO, czyli na raty, to dlaczego w drugim sklepie tych z książeczkami kredytowymi odsyła się tam, skąd przyszli, jeśli nie dalej? Nic nie pomogą protesty klienta, że kredyt dostał specjalnie na zakup t e g o gramofonu i że panienka udzielająca kredytu wszystko sprawdziła w odnośnych instrukcjach.

Tu przy okazji, w celu uniknięcia zbędnych nieporozumień, chcę wspomnieć jeszcze o różnicy między gramofonami tzw. popularnymi, czyli urządzeniami średniej klasy, a gramofonami wysokiej klasy przeznaczonymi dla najwybredniejszych i bardziej zasobnych melomanów. Rozróżnienie takie nie jest czysto formalne: dotyczy bowiem konstrukcji, materiałów, nakładu pracy, no i ceny. Właśnie o tej cenie nie należy zapominać, żeby nie doprowadzić do absurdu. Gdy ktoś skrytykuje gramofon popularny, stawiając mu wymagania określone dla aparatów klasy „Hi-Fi", nasz łódzki producent gramofonów będzie zawsze na przegranej pozycji. Nie mówię oczywiście o pospolitym brakoróbstwie, które wszędzie należy tępić.

A przy okazji. Jaki będzie w przyszłości gramofon popularny, to w dużej mierze zależy od tego, co oferować będą najszerszemu ogółowi odbiorców producenci płytowi na naszym rynku.

SYGNAŁY Z WSZECHŚWIATA

„...promieniowanie radiowe pochodzi głównie od elektronów..."

Dalszy ciąg ze str. 1

płytce cząsteczek faktycznie niebezpiecznych od cząsteczek, które można było uważać za nieszkodliwe. W konsekwencji hipoteza wspomnianych naukowców amerykańskich nie znalazła jednak potwierdzenia, gdyż wbrew obawom okazało się, że promieniowanie kosmiczne nie jest aż tak niebezpieczne dla zdrowia. Dzieje się tak dlatego, iż w zasadzie ciężkie cząsteczki są zatrzymywane przez magnetosferę, znacznie powyżej stratosfery. Otóż magnetosfera stanowi niejako pułapkę magnetyczną naszej planety i cząstki „wstrzyknięte" w pole magnetyczne Ziemi, zostają schwytane, w rezultacie więc mamy do czynienia z promieniowaniem uwięzionym. Nosi ono również nazwę promieniowania pierścieniowego, gdyż otacza kulę ziemską w formie pierścieni zawierających cząstki naładowane — protony i elektrony.

Pas ów, który został odkryty przez Amerykanina J. Van Allena, występuje na wysokościach od 600 do 13000 km (nad równikiem magnetycznym jest on najgrubszy) i odznacza się znaczną trwałością w czasie cyklu zmian aktywności słonecznej oraz burz geomagnetycznych. Pewna część promieniowania o znacznej energii zbacza ze swojego toru na skutek wpływu ziemskiego pola magnetycznego i przedostaje się do pasa Van Allena. Jednak niektóre z wysokoenergetycznych cząstek docierają w pobliże górnej granicy atmosfery ziemskiej czyli na wysokość ok. 40 km i wchodzą we wzajemne oddziaływanie z atomami atmosfery. W wyniku tego zjawiska powstają liczne cząstki wtórne, które padają na powierzchnię Ziemi i mogą przenikać przez grunt i wodę. Na przykład słabe promieniowanie jest odczuwalne nawet w głębi kopalń, a także oceanów nawet na głębokości dochodzącej do 1000 metrów. Owo promieniowanie wtórne otrzymało swego czasu nazwę promieniowania „kosmicznego", ponieważ, jak sądzono, pochodziło ono bezpośrednio z kosmosu.

W tym miejscu wypadałoby choć w dużym skrócie przypomnieć istotę promieniowania kosmicznego pierwotnego i wtórnego. Otóż w promieniowaniu kosmicznym pierwotnym można wyróżnić dwie zasadnicze składowe. Jedna z nich to tzw. składowa słoneczna, która dociera do Ziemi ze Słońca i charakteryzuje się dużą nieregularnością, będąc wynikiem zmian aktywności planety centralnej. Druga z kolei składowa nosząca nazwę galaktycznej i przenosząca skrajnie duże energie w odróżnieniu od poprzedniej nie ma charakteru ukierunkowanego lecz dochodzi z całego obszaru Galaktyki, przy czym rozkład tej składowej winien być równomierny. Jak już jednak wspomniano, intensywność emisji promieniowania uzależniona jest od aktywności Słońca i gdy jej brak, wówczas składowa słoneczna praktycznie nie istnieje. Miejscem występowania cząstek słonecznych jest chromosfera i są one wysyłane z tych miejsc, gdzie pojawiają się tzw. rozbłyski, czyli nagłe pojaśnienia na tarczy słonecznej. Świadczą one o wyzwalaniu się w tych miejscach znacznych ilości energii, choć energia cząstek (protonów, które głównie tworzą składową słoneczną) nie jest już tak skrajnie duża i wynosi ok. 10^7 — 10^9 elektronowolta (eV). Z kolei jest ona już znacznie większa w przypadku cząstek składowej galaktycznej, która zawiera jądra o energiach 10^{21} eV.

Owe dość znaczne różnice energii obu składowych uwidaczniają się w oddziaływaniu ich cząstek z jądrami atomowymi atmosfery Ziemi. W rezultacie tych oddziaływań cząstki składowej galaktycznej przyczyniają się do powstawania mezonów i produktów ich rozpadu, czego z kolei nie są zdolne wywołać cząstki składowej słonecznej.

Badania prowadzone przez wielu uczonych pozwoliły przy tym zaobserwować dość osobliwe zjawisko. Otóż stwierdzono, co z początku zakrawało na paradoks, iż wzrost aktywności Słońca był związany ze zmniejszeniem strumienia promieniowania kosmicznego. Jak się okazało, po latach żmudnych dociekań, zjawisko to było wywołane wpływem dwóch czynników. Pierwszy z nich, nazwany później spadkiem Forbusha (od nazwiska odkrywcy) był efektem zakłóceń panujących na Słońcu oraz fluktuacjami pola geomagnetycznego. Spadek Forbusha następował zazwyczaj w ok. 24 godziny od momentu rozpoczęcia się rozbłysku i zmniejszenie strumienia promieniowania wahało się w granicach od kilku do dwudziestu kilku procent. Druga przyczyna zmniejszenia strumienia, jak wykazał amerykański próbnik PIONIER 5, miała ścisły związek z cyklem zmian aktywności słonecznej; przy czym okazało się także, iż źródło zakłóceń nie było związane z Ziemią. I tak, gdy aktywność Słońca była maksymalna, wówczas strumień promieni kosmicznych był najmniejszy, zaś w okresie minimalnej aktywności — największy. Choć jak już wspomniano, wydawało się to paradoksalne, wyjaśnienie było stosunkowo proste. Otóż w okresie wzmożonej aktywności Słońca wzrasta w przestrzeni wokółsłonecznej natężenie pola magnetycznego, co powoduje, iż mimo zwiększenia emisji przeważa działanie pola. Następstwem jest więc osłabienie ogólnego strumienia promieniowania kosmicznego docierającego do naszego globu. Dalsze wyjaśnienia uzyskano na początku lat sześćdziesiątych, kiedy dzięki badaniom naukowców radzieckich ustalono, iż składową słoneczną tworzą nie tylko protony, jak wówczas sądzono, ale również pewna ilość jąder atomów helu, trytu oraz cząstek o dużych masach: jak jąder atomów fosforu i dalszych o większych liczbach atmowych. W rezultacie uznano, iż w okresie wzrostu aktywności słonecznej następuje „uprzywilejowane przyśpieszenie i emisja jąder atomowych o większych masach i ładunkach elektrycznych". (O. Wołczek: „Strumienie cząstek kosmicznych").

Innym i chyba jeszcze znacznie bardziej kontrowersyjnym problemem, który nurtował uczonych przez wiele lat, była sprawa pochodzenia promieniowania kosmicznego galaktycznego. Hipotezy na ten temat były dość zróżnicowane. Robert Millikan twierdził, na przykład, że źródła tego promieniowania powinny istnieć w odległej przestrzeni międzygwiezdnej, nie uwzględniał jednak faktu, iż energia cząstek kosmicznych przewyższa znacznie co do wartości energię owych źródeł. Według innej hipotezy promieniowanie kosmiczne galaktyczne miało powstać w zamierzchłych czasach, kiedy warunki panujące we Wszechświecie znacznie różniły się od panujących obecnie. Wielkie energie, jakie posiadały cząstki promieniowania, miały być im nadane przez istniejące jakoby wówczas pola elektromagnetyczne o ogromnym natężeniu. Ale również ta hipoteza była pozbawiona słuszności. Biorąc bowiem pod uwagę, że średnia gęstość materii międzygwiezdnej w Galaktyce wynosi przeciętnie 1 atom/cm³, można wyznaczyć średnią drogę swobodną między dwoma zderzeniami. Zakładając prędkość cząstki jako bliską prędkości światła, czyli ok. 300.000 km na sekundę oraz fakt, że ulega ona rozpraszaniu przez obłoki plazmy w przestrzeni (zawierającej „zamrożone" pola magnetyczne), można obliczyć w przybliżeniu drogę przebytą przez cząstkę promieniowania kosmicznego. Droga ta waha się w granicach setek milionów lat świetlnych, co w porównaniu z czasem Ewolucji Wszechświata i Układu Drogi Mlecznej podważa założenia wspomnianej hipotezy. Toteż pogląd, iż promieniowanie galaktyczne jest reliktem przeszłości i dziś już nie występuje, należy uznać za nieuzasadniony.

Ale oto na początku lat sześćdziesiątych w poszukiwaniu wyjaśnienia genezy składowej galaktycznej dokonała się pewna ewolucja. Zwrócono bowiem uwagę na istnienie we Wszechświecie ogromnych źródeł energii, emisję których zaobserwować można w postaci promieniowania radiowego. Jak wiadomo, najbliższym Ziemi źródłem tego promieniowania jest Słońce, które jednak „produkuje" jądra atomowe stosunkowo „ubogie" w energię. Z kolei cząstki o bardzo dużej energii powstają w wyniku eksplozji gwiazd supernowych. Jednym z takich źródeł, na które zwrócili uwagę naukowcy radzieccy, W. L. Ginzburg i J. S. Szkłowski, była Mgławica Krab znajdująca się w gwiazdozbiorze Byka. Stwierdzili oni między innymi, że nie jest to bynajmniej zwykłe skupisko świecących gazów kosmicznych, lecz pozostałość po wybuchu gwiazdy supernowej, który nastąpił w 1054 roku. Nadal jeszcze obserwuje się w tym miejscu wyzwalanie energii, przy czym promieniowanie w zakresie światła widzialnego jest silnie spolaryzowane i to niemal całkowicie. Owo intensywne promieniowanie ma charakter synchrotroniczny, zaś jego emisja ma miejsce w czasie przyśpieszonego ruchu cząstek naładowanych w odpowiednim polu magnetycznym, a konkretnie w tym przypadku — elektronów relatywistycznych. Wskazuje to zarazem na możliwość przyśpieszania także innych cząstek, a zwłaszcza protonów, które osiągają wówczas znacznie większe energie niż miałoby to miejsce w przypadku emisji słonecznej, bądź innych, zwykłych gwiazd. Chociaż mechanizm przyśpieszania cząstek kosmicznych w przestrzeni międzygwiezdnej nie został jeszcze dostatecznie zbadany, można jednak przypuszczać, że istnieje kilka źródeł powstawania składowej galaktycznej. Na pewno jej część o stosunkowo niskiej energii pochodzi ze zwykłych gwiazd, między innymi z tzw. wtórnych źródeł galaktycznych. Jednak co się tyczy głównej masy składowej, to należy sądzić, iż jej źródłem są eksplozje gwiazd supernowych, zaś odnośnie cząstek o najwyższych energiach to najprawdopodobniej docierają one do Ziemi spoza Układu Drogi Mlecznej.

Jak już ustaliliśmy, promieniowanie radiowe Drogi Mlecznej pochodzi głównie od elektronów, poruszających się pod wpływem pola magnetycznego tych konstelacji gwiazd. Szczególnie silne sygnały radiowe wydają się pochodzić z części centralnej Układu Drogi Mlecznej, choć ich powstawanie nie zostało jeszcze w pełni wyjaśnione. Także inne, obce galaktyki znane są jako źródła promieniowania radiowego, przy czym wypromieniowują one znacznie więcej energii niż Droga Mleczna. Przykładem może być choćby Cygnus A w gwiazdozbiorze Łabędzia, który w zakresie promieniowania radiowego jest pięciokrotnie „jaśniejszy" niż w zakresie optycznym.

Szczególnie silne, punktowe źródła promieniowania radiowego odkryto w kwazarach, które są również bardzo odległe od naszej planety. Dalszymi źródłami promieni kosmicznych są, według najnowszych hipotez, Białe Karły, niezwykle gęste gwiazdy (średnica uległa skurczeniu do wartości około 1 procent średnicy pierwotnej) i obdarzone bardzo silnym polem magnetycznym.

Uwaga astrofizyków kieruje się obecnie ku przyszłym eksperymentom, które pozwolą między innymi wyjaśnić szczegółowo rozkład energii jąder. Aby dokonać pomiaru intensywności opadu cząstek promieniowania wtórnego, zainstalowano w szeregu krajach potężne stacje detekcyjne (EAS — extensive air shower). Jedna z nich, znajdująca się w Japonii, składa się z liczników scyntylacyjnych, każdy o powierzchni 4 m², umiejscowionych w wierzchołkach trójkąta o bokach: 1890, 1350 i 850 m długości. Liczniki te są połączone z naziemnymi i podziemnymi licznikami umieszczonymi wewnątrz trójkąta. Pomiary są jednak dosyć utrudnione i żmudne, ponieważ dziennie z lawiny cząstek można wychwycić przeciętnie tylko trzy wysokoenergetyczne cząstki, które opadają na powierzchnię 10 cm². Aby móc dokładniej zbadać promieniowanie radiowe, w USA, w stanie Nowy Meksyk postanowiono wybudować specjalny radioteleskop, który będzie największym tego typu obiektem na świecie. Średnica anteny owego radioteleskopu powinna wynosić 42 kilometry (!) Zamiast niej posłużono się więc licznymi małymi antenami współdziałającymi ze sobą na zasadzie interferometrii. „Antenę" tworzy szyna kolejowa, uformowana w kształcie litery Y, którą umieszczono wewnątrz okręgu o średnicy 42 kilometrów. Trzy ramiona „Y" są rozsunięte względem siebie o kąt 120 stopni. Na każdym z nich zamontowano po 9 ruchomych anten w kształcie czasz o średnicy 25 metrów każda. W zależności od wzajemnego położenia różnych par anten można będzie dokonywać syntezy informacji odbieranych przez ten ogromny obiekt. Niezależnie od stosowania tego typu aparatury wciąż podejmuje się coraz to nowe eksperymenty z użyciem pojazdów kosmicznych, a wszystko celem przybliżenia ludzkości choć o krok ku rozwiązaniu jeszcze przecież tak wielu zagadkowych problemów, jakie kryje w sobie Wszechświat.

BOHDAN FELT

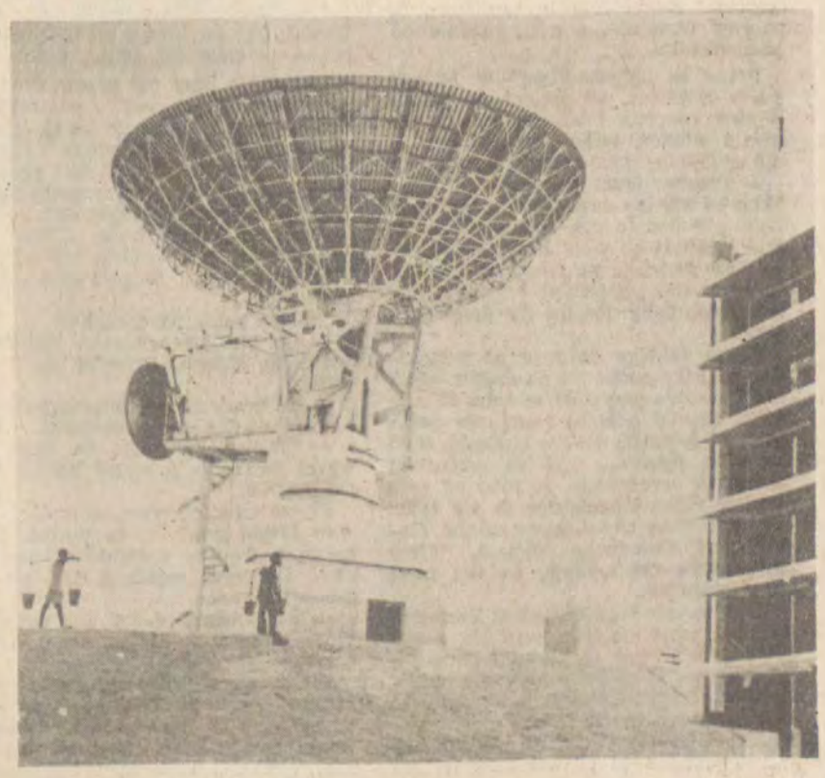

„Średnica anteny owego radioteleskopu powinna wynosić 42 kilometry(!)..."

KABARETY

Minęła już epoka kabaretów „Dudek" i „Pod Egidą", tak, jak przedtem przeminęły kabarety „Koń", „Stodoła" i inne. Tak jak do historii przeszedł pierwszy powojenny, rewelacyjny kabaret „Siedem Kotów" z Gałczyńskim i Kwiatkowską.

Specjalnie napisałem „Siedem Kotów" rozstrzelonym drukiem, bo prymus prof. Sempolińskiego w ostatniej edycji programu powiedział „Siedmiu Kotów" i nie było to przejęzyczenie. Po prostu nazwa krakowskiego kabaretu pisana była cyfrą i uczeń Sempolińskiego przeczytał tak, jak umiał. Sprawa drobna, ale jeśli akurat tak mówi absolwent wydziału estradowego, to coś jest niedobrze.

Nie najlepiej jest też z kabaretem **prof. Sempolińskiego.** Oglądać to — oczywiście — można; w porównaniu z fragmentami programów **Janusza Rzeszewskiego** jest to nawet dobra szkoła estrady. Szkoda tylko, że taka mała ta „klasa" — gdzie się podzieli inni? Niech nam autorzy programu pokażą tych, których nie znamy z telewizji i filmów, tych — którzy jedzą gorzki chleb estradowy na prowincji. Wówczas dorobek wydziału estradowego ujrzymy w całej niefałszowanej krasie.

Ale po co ja to piszę. Przecież **Janusz Rolicki,** redaktor naczelny publicystyki kulturalnej TVP powiedział publicznie i wprost na pytanie dziennikarki „Przeglądu Kulturalnego", co rol i sobie telewizja z krytyki telewizyjnej.

Rolicki odpowiedział: **„Niewiele sobie robi, bo nie ma tej krytyki, lub jest dorywcza. Nie ma też warsztatu krytycznego w tym zakresie. Pewnie byłoby dobrze, gdyby pisano o telewizji fachowo, ale się nie pisze".**

No, tak. Wszyscy wiedzą, że pisać „fachowo" o telewizji to pisać z zachwytem. Inna krytyka jest niefachowa. Kropka.

Więc spróbujmy pisać dobrze, choć też nie bardzo. Otóż niedawno przebojem wszedł do czołówki polskich kabaretów kierowany przez **Andrzeja Strzeleckiego „Kur".** Jest to zespół, który zapewne przejdzie do historii razem z takimi osiągnięciami kabaretu, jak **„Koń", „Dudek",** wrocławska **„Elita",** czy **„Pod Egidą".** Grupa młodych aktorów **(A. Strzelecki, K. Majchrzak, J. Lamża, W. Zborowski, M. Siudym)** stworzła rzecz oryginalną, niepowtarzalną, dowcipną, z głębszym znaczeniem... I to wszystko jest na dodatek bardzo śmieszne i zrobione niezwykle prostymi środkami.

I oto, co się dzieje? Telewizja, nie czekając na jubileusz 10-lecia kabaretu, od razu, z punktu daje młodym aktorom miejsce na szklanym ekranie. **„Parada blagierów"** była najlepszym programem ostatnich miesięcy. W każdym razie od czasu krakowskich **„Spotkań z balladą"** nie oglądaliśmy tak żywiołowego, pełnego humoru kabaretu.

Program co prawda nie powstał ani w telewizji, ani dla telewizji, ale chwała **Januszowi Rolickiemu,** że **„Paradę blagierów"** nam udostępnił, choć bez specjalnej reklamy i w późnych godzinach nocnych.

Zdaję sobie sprawę, że po napisaniu powyższych słów okażę się fachowcem tylko w połowie. Aplauz bowiem miesza się tu z pretensjami i wątpliwościami. Jako fachowiec połowiczny nie mam szans u **Janusza Rolickiego,** ale to mały kłopot. Ważne, że Janusz Rolicki dał szansę kabaretowi „Kur".

TELEMAN

FILM

NIEOCZEKIWANA TREŚĆ MELODRAMATU

Film „Niewolnica miłości" to niespodzianka tegorocznego listopadowego przeglądu filmów radzieckich. Tytuł nie przystaje do tradycji radzieckiej kinematografii, więcej, nie przystaje również do konwencji współczesnego kina w ogóle. Przenosi nas w świat starego filmu, w którym tytuły bliskie tu wspomnianemu zapowiadały potencjalnym widzom chwile wzruszeń i łez, wylewanych nad losami kochanków, których jedynym przeznaczeniem było przeżywać bardziej lub mniej szczęśliwą miłość. „Niewolnica miłości" Nikity Michałkowa jest zatem, czego autor nie ukrywa, melodramatem. Jest to jednak melodramat dość niezwykły, rozegrany na dwóch planach lub poziomach. Na jednym z nich toczy się akcja miłosnej opowieści, na drugim, widz, świadom wybranej przez autora konwencji, wciągnięty zostaje w sferę treści i znaczeń zupełnie innych, przekraczających ramy melodramatu.

Scenariusz „Niewolnicy miłości" firmuje znakomity reżyser Andriej Michałkow-Konczałowski. Film zrealizował jego brat, aktor, Nikita Michałkow, który w ubiegłym sezonie zaskoczył nas niezwykle oryginalnym a będącym jego reżyserskim debiutem filmem „Swój wśród obcych, obcy wśród swoich". „Niewolnica miłości" potwierdza dziś, że kino radzieckie zyskało niezwykle utalentowanego reżysera, którego znamionuje cecha, o której mówimy na przykład analizując twórczość amerykańskiego reżysera Petera Bogdanovitcha — jest nią po prostu niezwykła miłość do sztuki kina. Znajduje ona wyraz w emocjonalnym stosunku do tego, czym kino żywi się na przestrzeni swych dziejów, co stanowi wyróżnik jego samoistności, jego oryginalności i konwencjonalności.

Akcja filmu „Niewolnica miłości" toczy się w czasie wojny domowej w Rosji i opowiada losy grupy filmowców pracujących z dala od Moskwy na terenach zajętych przez armię Denikina. W Moskwie są bolszewicy, tu natomiast żyją i pracują ludzie, dla których czas jak gdyby się zatrzymał. Arkadyjski bez mała spokój zakłócają chwilami wiadomości dochodzące z dalekiego frontu walki, a czas wojenny przypomina jedynie obecność grupy denikinowskich oficerów kontrwywiadu. Ekipa filmowa kręci swój kolejny film miłosny, w której główną rolę kreuje wielka gwiazda rosyjskiej kinematografii Olga Woznieisenska. W filmie tym oczywiście jest to postać fikcyjna, dla której można jedynie doszukiwać się pierwowzoru. Spokój realizacji zakłóca wiadomość, że stały partner Olgi, pierwszy amant ówczesnego kina rosyjskiego, przystał do bolszewików i pozostał w Moskwie. Ekipa cierpi też na brak taśmy, którą bolszewicy zarekwirowali, nacjonalizując kinematografię. Mimo tych przeszkód na naszych oczach powstaje nowy film, a Nikita Michałkow odkrywa przed nami kulisy starego warsztatu filmowego. „Niewolnica miłości" stanowi zatem przy okazji ciekawą lekcję historii filmu. Jest to lekcja, w której splata się obiektywna znajomość dziejów, a w nich wątlutka nić filmu oraz swoista nostalgia, która zawsze dotyczy spraw zamkniętych bezpowrotnie.

Symboliczny tramwaj — widmo wiezie w finale filmu wielką gwiazdę Olgę Woznieisenską w dal. Wraz z nią skończyi się świat, z którego wyrosła i któremu służyła, skończyła się też pewna epoka kina. W dniach, w których Olga gra swą ostatnią rolę cierpiącej z miłości heroiny, człowiek, którego ona kocha naprawdę filmuje dokumentalne sceny zbrodni dokonywanych przez denikinowców. Filmowiec nowych czasów, nowych spraw i funkcji kina zapłaci za to życiem. Olga, tak bliska tej decyzji, nie zdąży zagrać już innej roli niż ta, która była dotąd jej specjalnością.

Historia miłości Olgi i Wiktora jest już tylko pozornie melodramatem. Bieg zdarzeń nadal jej inną treść i inny sens. Sens ten ciąży nad całym działaniem ludzi, którzy pracują razem z Olgą. Nikita Michałkow przeprowadził w swym filmie wspaniałe studium owego grona ludzi, których świat się kończy. Odnajdujemy w „Niewolnicy miłości" klimat i postacie, których nie powstydziłby się sam wielki Antoni Czechow, z ducha jego twórczości wyrósł obraz czasów i środowiska w filmie Michałkowa pokazany.

Wielką siłą tego filmu są, jak na wspomniana tradycje przystało, aktorzy. Na plan pierwszy wysuwają się — zupełnie rewelacyjna Jelena Sołowiej w roli pięknej, nostalgicznej, eterycznej Olgi Woznieisenskiej oraz Aleksander Kalagin w roli reżysera, dwie najbardziej czechowowskie postacie tego filmu, lecz w istocie uhonorować należałoby cały zespół aktorski.

Gdyby można było zapomnieć o zbanalizowanym już sensie słowa „retro", można by nim opatrzyć film Nikity Michałkowa, w kinie radzieckim słowo to ma zresztą sens nie przystający do tego, które określa aktualna mode światowego kina. Epoka, wobec której najczęściej słowo to stosujemy, jest przecież stałym tematem filmów tej kinematografii, a nigdy przy ich okazji określeniem tym nie mieliśmy zwyczaju się posługiwać. Jeśli używam go przy „Niewolnicy miłości", to dlatego, że epoka ta znalazła w tym filmie wizerunek szczególny. Nikita Michałkow, człowiek, który kocha sztukę kina, zademonstrował nam bowiem warsztat niezwykle utalentowanego stylisty. Za jego sprawą film ten stał się dużej klasy pastiszem gatunku, a pastisz przecież wydaje się jednym z podstawowych wyznaczników tych kilku naprawdę ambitnych filmów na fali „retro" wyrosłych. Michałkow przekroczył jednak samą konwencję pastiszu, dał nam również niezwykle interesujące studium określonego środowiska, pasjonujące portrety psychologiczne i ciekawą lekcję historii, nie tylko zresztą historii kina.

EWA NURCZYŃSKA

KRAJ

MARTWY SEZON

„Teraz nad morzem jest cicho, sza..."

Dalszy ciąg ze str. 1

nia i go zarazem nie zmieniają. Zimą, wiosną, jesienią mieszkają prawie na wsi, latem prawie w metropolii. **Zimą — pięć tysięcy mieszkańców, latem siedemdziesiąt.**

Wielu rodaków w Międzyzdrojach bywało, prawie wszyscy wiedzą co zacz, nieliczni widzieli tu martwy sezon. Ci, którzy widzieli, to na pewno w większości renciści i emeryci, bo właśnie oni królują tu częściowo od połowy września, a niepodzielnie od października.

Przez te „niechodliwe" w świecie pracy miesiące, od jesieni do późnej wiosny rencista i emeryt jest tu panem i władcą, tylko że nie bardzo ma gdzie i na czym rządzić, bo:

— Proszę pana, wszystko pozamykane bo nie ma ruchu, nie ma utargu. Nikt nie będzie dla idei robił. A ile taki rencista ze sobą przywiezie? Sto złotych, dwieście na dwa tygodnie. Za to by chciał pobalować i jeszcze zaoszczędzić, żeby trochę do domu zabrać.

Znam takiego jednego co przyjeżdża od kilkunastu lat po dużym sezonie i zawsze przywozi ze sobą 50 złotych. Chodzi później i próbuje pożyczać od ludzi po stówie i więcej. Nosi ze sobą jeszcze... taki no ...blankiet przekazu pocztowego, że niby od razu wpisze adres i nazwisko, to jak tylko do Warszawy wróci, zaraz odeśle. Guzik! Już niejednego nabrał. Wiesz pan, mnie się wydaje, że ten facet to wariatuncio.

„Po sezonie" widać już w Szczecin-Dąbiu gdzie rencista wysiada z pociągu osobowego (2 klasa) i chce dojechać do Międzyzdrojów, ale większość pociągów „chodzi w sezonie, bo kto teraz nad morze jedzie."

Rencista oczywiście. Na jednym turnusie jest ich tu prawie dwa tysiące i oni decydują o specyfice tego miasta po sezonie. Bo jest ono inne niż latem: wspomnienie zostało po rozwrzeszczanej plaży, i deptakach, pracujących na pełnych obrotach pawilonach, sklepach, kioskach i innych budkach.

Teraz nad morzem jest cicho, sza... Plażą snują się starsi ludzie, parami i pojedyńczo, rzucają pokruszone bułki mewom. Panie plotkują, ale już nie w koszach. Kosze z plaży zwieziono. W środku miasteczka czynnych kilka sklepów, ale nad morzem ostał się jedynie kiosk Centrali Rybnej: NOWOŚĆ, śniadanie za 8 zł. Hamburgery rybne — smaczne, tanie, i pożywne.

Wszystkie inne czy to prywatne, czy państwowe „interesy" pozamykane. Przez szyby widać gołe półki, krzesła na stolikach a w jadłodajni „Muszelka" suszą się majtki, halki i ręczniki. Parasolki i reklamy przy molo pozwijane. Konwencjonalny kurort zniknął — brak wielkiego życia. Cisza, spokój, starość. Ale rencista też człowiek i lubi się bawić w przyjętej ogólnie konwencji.

Starsze panie na deptaku:

— Co oni powariowali! Znowu likwidacja sklepu. Przecież są jeszcze ludzie.

— To wszystko jest niezorganizowane. Nie ma dobrego gospodarza.

— Chociaż parasolki na molo powinni zostawić, przecież będzie jeszcze pogoda.

Prywatną inicjatywa, na molo:

— Józek, popatrz, tu można przyczepę z dwoma kominkami przyciągnąć i interes robić. A tak nic nie ma — puchy.

— Eee... szkoda gadać, ci z państwowego to nygusy, nic im się pomyśleć nie chce.

Plaża, molo i deptaki ograbione z atrakcji — tu kwitnie życie po pięćdziesiątce. To jeszcze nie wszystko, czynnych jest kilka kawiarni. Te miejskie niedługo skończą urzędowanie i znowu przybędzie kartek — „lokal zamknięty do przyszłego sezonu". Cały rok czynne są kafejki przy domach wczasowych FWP. Nikt nie chce jednak kisić się we własnym sanatoryjnym towarzystwie dlatego „pobalować" wychodzą do miasta. Wydają swoje 100, 200 czy 300 złotych na małe kawy w „Piekiełku", „Rio" i to właściwie wszystko. Tu również kwitnie życie intelektualne i towarzyskie po sezonie.

„RIO"

— jak z tym ciśnieniem?

— No... będę musiała sobie zmierzyć.

— Dwie galaretki (do kelnerki)

— I jedną kawę

— Lubię galaretki, tak odświeżają usta.

— Nie lubię Jarockiej, nie wiem dlaczego.

— A ja lubię Santor.

— Jedna pani od mojego stolika mówiła, że było w gazecie...

— ...o! niech pani zobaczy, wszedł ten doktor!

Zdarza się również spotkać ludzi młodych....

— Panie Marku, może serce w czekoladzie?

— Nie, dziękuję bardzo, nie lubię słodyczy.

— Jak to, nie zje pan mojego serca? (zalotnie)

— No dobrze, jak już trzeba... (gryzie piernik).

— Och! Jak boli mnie serce.

Na koniec katalogu atrakcji — kino. Ono też pracuje w tym cyklu „nadmorskim" — „w sezonie chodzimy jako pierwsza kategoria, a od 15 września jako druga. Zresztą mało ludzi teraz; jak trzydzieści osób na spektaklu jest, to góra. Sami emeryci i renciści.

Bawi się więc wczasowicz skromnie: spacerek plażą, dwie kawiarnie do wyboru, kino drugiej już kategorii. Ale materiału do studiów dostatek na słupach ogłoszeniowych, tablicach. Pożółkłe papierzyska przypominają świetność metropolii, która w międzyczasie stała się wsią. A były i dyskoteki i recitale wszelkiej maści, a jakie? — o tym chyba bywalcom kurortów mówić nie trzeba.

Było, minęło. Po sezonie.

Ale miejscowi zostali. Ci przepracowani odpoczywają bo mają po czym, grosz także liczą, a niektórzy próbują przepić. Były czasy, że niektórzy zrobili tu „amerykańskie" kariery. Ale nie takie jak legenda głosi i nie od pucybuta zaczynali. „Wydawać złotówki, oszczędzać tysiące" — dzięki tej dewizie pewien pan jest właścicielem knajpy. A zaczął od saturatora w końcu lat pięćdziesiątych. Po drodze zaliczył kilka jadłodajni i wyszedł na swoje. Nie on jeden.

— Interesy różne ludzie robią. Teraz to największe zarobki mają ci, co prowadzą prywatne stołówki. Ale też nie wszyscy. Trzeba mieć znajomości, kontakty bo kiepsko z zaopatrzeniem. Różnie sobie radzą: jak ktoś ma samochód to objeżdża wsie dookoła, ma umówione miejsca i kupuje. Ale różnie ludzie na tym wychodzą. Jeden później nie musi pracować, a inny wychodzi na minusach. To zależy od sprytu, obrotności, układów i od tego czy się ma skrupuły czy nie. Im mniej tym lepiej. Pewnie, są tacy co robią duże pieniądze. Teraz na przykład facet chce już od pół roku sprzedać ten lokal gdzie był „Mors". Życzy sobie 1,5 miliona a ekspert wycenił na 700 tysięcy. Ale u nas nie płaci się tylko za to co się kupuje, ale też gdzie to jest. „Mors" jest przy głównej ulicy — dlatego ta dopłata."

Inni, mniej zmęczeni co mają posady państwowe a w lecie tylko dorabiali, robią to co przez cały rok. Wstają o 5.00 żeby zdążyć na pociąg do Świnoujścia o 6.05. Dwa tysiące ludzi tam pracuje, przeważnie w Państwowym Przedsiębiorstwie Połowów Dalekomorskich „Odra". Nie wszyscy jadą rano, ale i tak bractwa sporo. A jechać miło bo na dworcu serwują piwko. Nie, nie ciemne — pełne, jasne. Po śniadaniu jedno, dwa, czasami, jak się zdąży to i trzy polecą. Zaraz inny humor. Jak braknie na dworcu to nie ma biedy, bo zaraz obok — dobrze zaopatrzona „Maleńka". Lokal wąsko wyspecjalizowany — chcesz łachudro herbatę to pij w kuflu, a do zamieszania duża łycha. Zresztą tu herbatę piją tylko chorzy i turyści. Tak normalnie to każdy z kuflem. Wesoło jest w pociągu a w pracy czasem za wesoło.

Później, jak z roboty wracają to różnie, bywa piwko, a czasem od razu do żony się wraca. To normalnie, ale nie po wypłacie. Pierwszego elita urzęduje w „Barze pod skarpetą". Zgrabny namiocik, stoły barowe, wszyscy na luzie — peta na ziemię można rzucić i powiedzieć co się myśli. Muzyka też jest, a jakże. Zespół cygański aż ze Świnoujścia przyjeżdża i grają chłopaki aż się dokumentnie nie spiją. A jak się robi ciut zimno to najwięksi koneserzy piwa przenoszą się do szklarni — przybudówki ze szkła obok namiotu. W trociniaku się hajcuje, ciepło jest, piwo jest to i humor jest. Tak bawi się elita. A szary człowiek?

— Czy nudno po sezonie? Bo ja wiem... Spokojnie po prostu. Każdy się przez lato narobi to zimą wypoczywa. Jak mniej roboty to człowiek, wie pan, książek poczyta, prasę postudiuje i na telewizję jest więcej czasu. A inne rozrywki też są. Wie pan, my tu sobie z kolegami w brydżyka pogramy. Jak przyjdzie wolna sobota, na przykład, to już w piątek wieczorem się spotykamy, u mnie albo gdzie indziej w mieszkaniu. Szykuje się kanapeczki, kieliszeczek czegoś dobrego.

Czy tylko tyle? Gdzie tam, kultura też jest. Do teatrów się jeździ do Szczecina a i dalej — Łódź, do Teatru Wielkiego w Warszawie też czasami. Na koncerty ma się rozumieć, także.

Ja tam nie narzekam. No, ale czeka się na lato. Duży sezon — duże pieniądze...

— Po sezonie? Bardzo ciche, smutne miasteczko. Pół godziny trzeba chodzić, żeby znajomemu czy kumplowi cześć powiedzieć. Czynne dwie albo trzy knajpy i na tym koniec. Ludzi na ulicach mało, bardzo mało, bo większość pracuje w Świnoujściu. Mało miejscowych nad morzem? Oczywiście. Ja na przykład w tym roku raz się kąpałem, a na plaży nie byłem ani razu. O opalaniu w ogóle nie ma mowy. I to tak wszyscy. Jest takie dowcipne powiedzonko: „po czym poznać tubylca? Po tym, że blady i pijany.

Na urlop jeżdżę do Bierutowic, cicho, spokojnie. Teraz już od końca września będę miał dużo czasu. Przyjeżdżają kuracjusze, starsi ludzie. Dla nich zawsze robię jakąś wycieczkę i koniecznie spotkanie z kombatantem, taki wieczór wspomnień. Odpoczywam.

Jak inni? Tu wszyscy prawie żyją z wczasowiczów. Chociaż w trakcie sezonu mają ich serdecznie dosyć. W lecie mają dosyć, a zimą trochę odpoczną i cały czas czekają aż przyjdzie maj. Bo właściwie 2—5 maja zaczyna się ruch. Ale wtedy przyjeżdżają ludzie starsi by się kurować. Tyle, że w maju to tu nie jest najcieplej, więc jak ktoś przyjedzie z reumatyzmem to wyjeżdża jeszcze bardziej schorowany — zimno i wilgoć.

Już w kwietniu widać ożywienie, jakiś taki niepokój. Ludzie są podekscytowani. Zaczyna się ruch, bieganie, przygotowania, malowanie wszystkiego co się da, żeby przyciągało oko.

I tak zaczyna się sezon.

WALDEMAR M. WIŚNIEWSKI

„Ale miejscowi zostali..."

U PRZYJACIÓŁ

Wielkim wydarzeniem w ZSRR stał się tegoroczny III Festiwal Dramaturgii Polskiej. Przygotowano do realizacji 50 polskich sztuk, 126 inscenizacji, w teatrach wielu republik. Najciekawsze spektakle zostaną nagrodzone i zaprezentowane w Moskwie. Liczne teatry rosyjskie zaprosiły do współpracy przy realizacji sztuk festiwalowych polskich twórców. I tak: ze sceną w Czelabińsku współpracuje reżyser Jan Jarocki, scenograf Jerzy Kowarski oraz autor oprawy muzycznej Stanisław Radwan: przygotowują oni inscenizację „Balu manekinów" Brunona Jasieńskiego. W Kazaniu wystawiono w reżyserii Janusza Nyczaka adaptację utworu Tadeusza Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz". W realizacji sztuki Gabrieli Zapolskiej „Ich czworo" wzięły udział Izabella Cywińska (reżyser) i Zofia Wierchowicz (scenografia). W Kownie Wojciech Siemion i Adam Kilian realizują „Na szkle malowane" Ernesta Brylla i Katarzyny Gaertner. W Kijowie odbyła się premiera „Krakowiaków i górali" Wojciecha Bogusławskiego w reżyserii Jerzego Krasowskiego.

Uroczyście także zapowiada się finał III Festiwalu Dramaturgii Polskiej w ZSRR. W Moskwie Teatr im. Wachtangowa wystąpi z premierą „Lata w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserii Augusta Kowalczyka. W Wilnie i stolicy ZSRR wystąpi Teatr Narodowy z Warszawy. Otwarte będą liczne wystawy, planowane jest sympozjum polskich i radzieckich twórców i krytyków.

Ogromnym zainteresowaniem cieszą się w Moskwie dwie nasze wystawy. Pierwsza prezentująca około 80 portretów polskich z XVII w. czynna jest w czołowej galerii Moskwy — Państwowym Muzeum Sztuk Plastycznych im. Aleksandra Puszkina. Druga eksponowana w foyer Teatru im. Wachtangowa, pokazuje najlepsze polskie plakaty teatralne.

Prezydium Rady Najwyższej ZSRR przyznało Anatolijowi Nowikowi tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej za wybitne zasługi w rozwoju radzieckiej sztuki muzycznej oraz w związku z 80-tą rocznicą jego urodzin.

Działalność kompozytorska Anatolija Nowikowa jest uważana za zjawisko unikalne w skali światowej. Nazywa się Nowikowa szczególnego rodzaju kronikarzem dziejów 60-letniego bez mała pierwszego na świecie Państwa Socjalistycznego.

Nowikow debiutował w 1918 roku w swym rodzinnym mieście Skopinie jako dyrygent chóru, który wykonał jego pierwszy utwór „Hymn wyzwolonej Rosji".

Na rynku księgarskim Kraju Rad ukazała się obszerna publikacja, poświęcona życiu i twórczości Dymitra Szostakowicza. Omawiając tę pozycję na łamach czasopisma „Sowietskaja Kultura" Aleksander Chołominow stwierdza m. in., że ukazała się ona za późno; miała bowiem stanowić dar dla kompozytora na 70-lecie jego urodzin.

Obecnie wydana antologia jest zbiorem szkiców do portretu artysty. Piszą w niej o nim wybitni kompozytorzy i muzykolodzy radzieccy i zagraniczni, jego przyjaciele i uczniowie, pisarze i działacze kultury. Dokumentalną wartość mają zwłaszcza wspomnienia muzyków, którzy współpracowali z Szostakowiczem na co dzień. Wydaje się, że obecna pozycja nie będzie ostatnią poświęconą Szostakiewiczowi. Miłośnicy jego talentu z radością przyjmą nowe, pisane nie tylko przez autorów radzieckich.

U PRZYJACIÓŁ

RPA

„EKSPERYMENT TRANSKEI..."

26 października ogłoszono tzw. niepodległość bandustanu Transkei (bandustan — rezerwat plemienny, red.), położonego na terytorium Republiki Południowej Afryki. Akcja ta, urzeczywistniona przy aktywnym udziale rasistowskiego reżimu Vorstera, ma upewnić opinię międzynarodową, że polityka apartheidu jest rzekomo ukierunkowana na stworzenie pomyślnych warunków dla ekonomicznego i socjalnego rozwoju afrykańskich narodów w RPA i że jej ostatecznym celem jest danie im pełnej niepodległości. Jest to wierutne kłamstwo.

Eksperyment Transkei — bo tak to można nazwać — RPA rozpatruje już jako wzorzec rozwiązania problemów dziewięciu pozostałych bandustanów: Bofutatswany, Lebowy, Ndebele, Gazankulu, Wchawendy, Swazi, Basoto — Kwakwa, Kwazulu i Siskei — którym zresztą, być może, już przygotowano taki sam smutny los polityczny.

W RPA, reżim apertheidu ustanowiony przez białą mniejszość (4,2 miliona ludzi) sprawuje władzę nad afrykańską większością (18,1 miliona ludzi), która żyje w warunkach wojskowej okupacji. Neokolonialne decyzje południowoafrykańskiej klasy rządzącej przewidują stworzenie na południowoafrykańskim terytorium „niezależnych" państw opartych na zasadzie etnicznej. „Dekolonizacja" będzie polegać na ofiarowaniu Afrykanom pewnego rodzaju obywatelstwa, wynikającego z kryteriów etnicznych i formalnej likwidacji atrybutów władzy białych, w rejonach izolowanych od pozostałej części kraju. Po utworzeniu tych państw etnicznych, w RPA „nie będzie" już czarnoskórych obywateli: staną się obywatelami innych „państw"...

Celem tej operacji jest wprowadzenie w błąd ludności RPA oraz światowej opinii publicznej. Dysproporcja między liczbą Afrykanów a liczbą ludności białej, napawa tę ostatnią koszmarnym strachem. W miastach i rejonach przemysłowych stosunek ten wyraża się liczbą 1 : 2. Dla białych więc ów koszmar rozcieńczy się, przynajmniej na papierze. Rząd RPA ma nadzieję, iż uda mu się utwierdzić w przekonaniu swoich krytyków, że uwzględnił marzenia Afrykanów dążących do uwolnienia się od białego panowania. Południowoafrykańscy przywódcy kładą szczególnie silny nacisk na tę analogię z dekolonizacją.

Kiedy dziewięć pozostałych bandustanów otrzyma „niepodległość", w RPA nie będzie czarnych obywateli, przynajmniej w sensie prawnym, i w konsekwencji masy afrykańskiego proletariatu miejskiego, bez którego ekonomika kraju byłaby sparaliżowana, przekształcą się w obcokrajówców. Jak utrzymują teoretycy apartheidu, w takim wypadku nie można twierdzić, że akty dyskryminacji wobec afrykańskich robotników są podyktowane względami rasistowskimi, skoro robotnicy zostali obcokrajowcami Tymczasem biali obcokrajowcy zamieszkali w RPA mogą przyjmować obywatelstwo tego kraju, kupować nieruchomości, korzystać z praw ludzi białych we wszystkich dziedzinach życia Stworzenie „niepodległych" bandustanów niczego nie zmieni w strukturze apartheidu. Bez Afrykanów ekonomika „białej" RPA i tak nie może się obejść, a jednocześnie będą oni mieli jeszcze mniejsze prawa niż przedtem.

Oczywiście — przyznają przywódcy RPA — ani jeden bandustan, włącznie z bandustanem Transkei, nie jest zdolny do samodzielnego życia ekonomicznego. Jednakże — pytają oni — ileż państw afrykańskich znajduje się w takiej samej sytuacji?

Ale w byłych koloniach, które, podobnie jak Mozambik, próbują stworzyć własną ekonomikę na podstawie odbudowy gospodarki chłopskiej, istnieje realna perspektywa rozwoju ekonomicznego. Transkei nie ma nawet możliwości wypróbowania tej strategii. Jego gospodarka chłopska i samo chłopstwo są niemal całkowicie zniszczone przez system migrującej pracy. 87 procent całego terytorium RPA zagarnęli biali, na pozostałej części stworzono rezerwaty, z których przemysł w nieograniczonej ilości czerpał siłę roboczą: bezrobotnych Afrykanów wyzutych z ziemi. Rezerwaty były schroniskiem dla drobnych producentów wiejskich, ledwie wiążących koniec z końcem. Podstawą rozwoju przemysłu górniczego, kapitalistycznego rolnictwa jak również przemysłu w „białych" rejonach był ogromny rezerwuar ulegle i taniej siły roboczej.

Pozbawiona ziemi, uciskana część ludności opuszczała rezerwaty. Na przestrzeni dziesięcioleci gospodarkę wiejską pozostawiono trosce starców, dzieci i kobiet. Urodzajność ziemi jest niezwykle niska, bowiem w konsekwencji istniejącego systemu każda rodzina posiada tylko odrobinę ziemi, a żadnej reformy rolnej przeprowadzić nie można bez zgody wodzów.

W ciągu stulecia migrująca siła robocza i brak ziemi odcisnęły niezatarte piętno na ekonomice Transkei, która wytwarza zbyt mało produktów, żeby zaspokoić potrzeby całej swojej ludności (ponad 1,3 mln), i systematycznie importuje ziarno z innych rejonów RPA. Środki finansowe bandustanu są minimalne, a stworzenie struktury ekonomicznej przy pomocy wewnętrznych źródeł jest praktycznie niemożliwe. W latach 1965—1966 źródłem 62 procent ogólnego dochodu bandustanu Transkei był południowoafrykański skarbiec; w latach 1974—1975 procent ten wzrósł do liczby 77. Także wiele innych wskaźników świadczy o pełnej zależności bandustanu od rządu w Pretorii. Zarobki Afrykanów pracujących poza granicami Transkei są głównym źródłem dochodu mieszkańców tego terytorium (około 70 procent).

Dziesięć bandustanów, włącznie z Transkei, produkuje rocznie towary o wartości około 15 milionów randów. Ich łączny produkt rolniczy przeznaczony na rynek wynosi zaledwie 13 milionów randów. Roczny wewnętrzny produkt wszystkich bandustanów w rozliczeniu na jednego mieszkańca wynosi 64 randy, a zatem nieco ponad 5 randów miesięcznie (rand = 1,15 dolara USA). W Transkei co roku na rynek pracy przychodzi około 30 tysięcy nowych petentów. W ubiegłym roku stworzono 3.559 nowych miejsc pracy, a w najlepszym wypadku można stworzyć rocznie około 8 tysięcy miejsc pracy. Na 310 tysięcy potencjalnych robotników w Transkei, około 257 tysięcy pracuje w „białej" RPA.

Ta ekonomika stworzyła bardzo swoisty rodzaj formacji społecznej i systemu politycznego. W ogromnej większości męska część ludności pracującej przechodzi kolejno od ciężkiej sytuacji chłopa bez ziemi do sytuacji robotnika najemnego za granicą, żeby następnie powrócić na pewien czas do rezerwatu. Transkei wezwano do zabezpieczenia reprodukcji siły roboczej, którą „centralne" państwo przyjmuje dopiero wtedy, gdy jest ona pełnowartościowa. Dlatego też rezerwaty przekształciły się w schroniska dla starców i niedoświadczonej jeszcze w pracy młodzieży, a także dla 1,2 miliona Afrykanów „repatriowanych" z „białej" RPA, to znaczy wysiedlonych z „białych" rejonów RPA za wystąpienia przeciwko polityce apartheidu, za naruszenie jakiegoś z licznych praw rasistowskich, czy też dlatego, że ich pobyt na „białym" terytorium uważa się za niepożądany. (Do tej ostatniej kategorii należą dzieci i żony afrykańskich robotników).

Tania siła robocza w Transkei jest doskonałą reklamą, przyciągającą południowoafrykański i zagraniczny kapitał. Praw o ochronie ludzi pracy nie przestrzega się, postanowienia o minimalnych zarobkach ignoruje się, zorganizowane związki zawodowe nie istnieją.

Otrzymując „niepodległość", Transkei odziedziczył jednocześnie stan nadzwyczajny, dzięki któremu wodzowie utrzymują pokój między swymi poddanymi (wodzowie mają 65 ze 110 miejsc w parlamencie Transkei), mogą zakazywać zebrań, deportować oponentów i palić ich domostwa. Opozycyjna Partia Demokratyczna nie mogła zorganizować ani jednego zebrania w sprawie problemów niepodległości, jak zresztą i we wszystkich innych sprawach. Wódz Kajser Matanzima, głowa nowego „państwa", zawsze odrzucał propozycję przeprowadzenia referendum w sprawie niepodległości, uważał bowiem, iż wyrazicielami interesów narodu są wodzowie, jeśli nawet oni sami i ich współpracownicy — jak zresztą i Matanzima — pozostają na utrzymaniu rządu RPA.

Prawdziwi wyraziciele interesów narodu afrykańskiego dali do zrozumienia, że nie ma bardziej wybuchowego problemu niż przymusowe pozbawienie Afrykanów obywatelstwa RPA. Jeśli pozbawi się ich prawa — pisze korespondent „Le Monde Diplomatique" — mieszkania i pracy w mieście, ofiarowując im w zamian „obywatelstwo" skazanego na nędzę bandustanu Transkei, może to doprowadzić do takiego wybuchu, jaki nastąpił niedawno w Soweto.

Reżim RPA usiłuje uniknąć katastrofy, przekazując swoją władzę nad ludnością afrykańską władzom bandustanów, pragnie stworzyć wrażenie, iż — zgodnie z prawem narodów do samostanowienia — dekolonizuje uzależnione od siebie narody Południowej Afryki.

Fałsz na wielką skalę.

JERZY CZECH

MILOWY KROK W ROZWOJU WSPÓŁPRACY

Niewątpliwie **najważniejszym dla nas wydarzeniem w ostatnich dniach jest wizyta partyjno-państwowej delegacji Polski z Edwardem Gierkiem w Związku Radzieckim.** Stolica Kraju Rad — Moskwa, a następnie Kazachstan i Białoruś — to etapy podróży i dwustronnych rozmów. Rozmowy plenarne toczyły się oczywiście w Moskwie i **zakończyły się wspólnym oświadczeniem polsko-radzieckim, pod którym złożyli swe podpisy Edward Gierek i Leonid Breżniew.** Objęły one szeroki wachlarz zagadnień. Obie strony wzajemnie poinformowały się o swych doświadczeniach, dokonały oceny współpracy, która szczególnie ostatnio rozwijała się wszechstronnie i dynamicznie oraz nakreśliły jej perspekytywy, wymieniły również poglądy na aktualne problemy międzynarodowe i ruchu robotniczego. **Polska i Związek Radziecki, KPZR i PZPR mają całkowicie zbieżne stanowiska.** Dążyć one będą do zacieśnienia współdziałania w celu umocnienia wspólnoty państw socjalistycznych i jedności ruchu komunistycznego oraz do uczynienia procesu odprężenia w świecie nieodwracalnym.

Zapowiedź dalszego rozszerzenia współpracy polsko-radzieckiej przyjęta została u nas z najżywszym zainteresowaniem. **Nie ma bowiem kraju, z którym współpraca przynosiłaby nam tak rozległe możliwości społeczno-gospodarczego rozwoju Polski.** I wzajemnie — coraz pełniejsza jest nasza obecność w życiu gospodarczym Związku Radzieckiego. Podkreśla to, przy okazji wizyty, prasa radziecka pisząc, że niemal na każdym kroku można się spotkać z przykładami rosnącego znaczenia Polski we wszystkich dziedzinach.

Obszerne komentarze na temat polsko-radzieckich rozmów zamieszcza cała prasa socjalistyczna. Podkreśla się w nich ogólniejsze niż tylko bilateralne znaczenie wizyty. **Służy ona — piszą dzienniki — dalszemu umocnieniu wspólnoty socjalistycznej, a tym samym jeszcze większemu jej wpływowi na bieg wydarzeń międzynarodowych.**

Wypracowane z takim trudem odprężenie w stosunkach między państwami o odmiennych ustrojach otwiera szanse rozwiązania problemów, które nadal zatruwają międzynarodową atmosefrę. Chodzi tu zwłaszcza o pohamowanie zbrojeń i otwarcie dróg ku efektywnemu rozbrojeniu.

Mówił o tym na Kremlu Edward Gierek:

„Trzeba doprowadzić do wyeliminowania broni nuklearnej, do ograniczenia zbrojeń konwencjonalnych, do zapobieżenia tworzenia nowych rodzajów broni masowej zagłady. Zakaz użycia siły lub groźby jej użycia musi stać się rzeczywiście uznaną i bezwzględnie przestrzeganą normą prawa międzynarodowego na całym świecie".

Troską napawa nas również ciągle nie wygaszony do końca konflikt bliskowschodni oraz występujący nadal, w różnych postaciach, kolonializm i rasizm.

Tym wszystkim negatywnym zjawiskom może położyć tamę sojusz sił postępu i pokoju. Jego stałe umacnianie jest równoznaczne z udaremnieniem prób, podejmowanych przez siły wsteczne, przeszkodzenia pozytywnym procesom, jakie zarysowały się na międzynarodowej arenie.

W. SŁAWSKI

SPORT

Z TEJ I Z TAMTEJ STRONY

Są na świecie stadiony, na których widownię oddziela od boiska wysoka druciana siatka. Postawiono ją aby uniemożliwić rozwydrzonej publiczności dostanie się na boisko. Na boisku bowiem powinni być zawodnicy i sędziowie. Miejsce dla publiczności jest na widowni. Bywa jednak, że publiczność decyduje się wkroczyć na boisko i rozstrzygnąć grę na korzyść swoich pupilów. Tak zdarzyło się jednej niedzieli aż na trzech tarnowskich stadionach. Kibice „Tarnovii" przez godzinę oblegali szatnię krakowskiej „Garbarni", usiłując dokonać samosądu na zawodnikach, którzy ośmielili się wygrać z ich ulubieńcami.

Oddzielenie widowni siatką od boiska uniemożliwia dostanie się chuliganów na murawę, ale nie rozwiązuje problemu. Nawet przez drucianą siatkę będzie bowiem widać panoszące się na niektórych stadionach chamstwo, brutalność i niekompetencję lub stronniczość sędziów.

W Opolu w czasie meczu między „Odrą" i „Stalą" z Mielca sędzia Marian Srodecki sześć razy sięgał do kieszeni po żółte kartki. Jedną z tych kartek otrzymał Andrzej Szarmach, który — jak utrzymuje Marian Srodecki — od początku meczu starał się na nią sobie zasłużyć, co mu się w końcu udało. A otrzymał ją za nieustanne krytykowanie decyzji sędziego. Mecz i sędzia nie podobali się też trenerowi opolskiej „Odry" — Antoniemu Piechniczkowi, czemu głośno dawał wyraz, ale sędzia nie mógł przecież pokazać mu żółtej kartki.

W poznańskiej „Arenie" kibicom nie spodobało się sędziowanie Jerzego Jurkiewicza i Zbigniewa Wójcika podczas koszykarskiego spotkania „Lecha" z rzeszowską „Resovią". Usiłowali wtargnąć na boisko, aby zaprowadzić tam „porządek" i tylko z trudem udało się działaczom i porządkowym powstrzymać ich od tego. Ale i tak jeden z działaczy dostał solidnie krzesłem rzuconym z górnych rzędów widowni.

Na jednym z meczy w Zabrzu kibice tamtejszego „Górnika" popisywali się piosenką: „Niech nam gwiazda pomyślności nigdy nie zagaśnie, a Szarmacha s... niechaj piorun trzaśnie".

W Tarnobrzegu podczas meczu między tamtejszą „Siarką" a „Spartą" sędzia Marian Ossowski uznał bramkę strzeloną przez zawodnika „Siarki" w czasie... przerwy w grze.

W czasie meczu „Wisłoki" z „Uranią" sędzia Libich uznał bramkę „strzeloną" ... łokciem przez zawodnika „Wisłoki".

Gdyby można było spopularyzować pomysł krakowskiej telewizji, która w sobotnim meczu „Wisły" z mielecką „Stalą" wyposażyła sędziego w... mikrofon i dzięki temu wszyscy, którzy oglądali ten mecz mogli przysłuchiwać się dyskusjom sędziego z zawodnikami i odwrotnie — zawodników z sędzią, to wtedy może zawodnicy zaczęliby wyrażać się kulturalnie. Chociaż bardzo w to wątpię, bo jak podaje katowicki „Sport" w Bytomiu na boisku zawodnicy wyrażali się „kuchenną łaciną" tak głośno, że aż na widowni komentowano ich kwestie, choć mecz piłki nożnej to nie teatr i tu się nie powinno podawać tekstu. „Sport" ma nawet pretensje do sędziego Mariana Kustonia, że nie reagował na te „teatralne" skłonności piłkarzy. Skoro jednak „kuchenna łacina" docierała nawet na widownię, to chyba również słyszeli ją działacze klubowi i porządkowi. Nie rozumiem, dlaczego „Sport" nie ma pretensji także do nich?

Z przedstawionych tu różnych przykładów widać wyraźnie, że oddzielenie drucianą siatką boiska od widowni niczego nie rozwiązuje, niczego nie załatwia. Jeśliby więc któryś klub wpadł na taki pomysł, to nie będę zniechęcała, ale też i nie zachęcam. Rzecz bowiem zupełnie w czym innym.

Od dawna wiadomo, że widownia potrafi być niebywale chamska, że pije się tam piwo i wódkę. Próbowano kiedyś rekwirować butelki przy wejściu na stadion, ale to i tak nie na wiele się zdało. Powszechnie wiadomo, że niektórzy zawodnicy dają popis brutalności na boisku, że grają nie fair, obrażają sędziego i przeciwników. Zdarzają się i tacy zawodnicy, którzy „specjalizują się" w opluwaniu innych, wyprowadzaniu ich z równowagi. Wiadomo również, że sędziowie nie zawsze postępują zgodnie z tym co się na boisku dzieje, że zdarzają się im omyłki, które zmieniają przebieg gry. Wszystko to od dawna wiadomo. Jak również i to, że żółte i czerwone kartki są może bardzo efektowne w czasie gry, ale już niezbyt skuteczne. Krakowska „Wisła" na przykład „ukarała" Adama Musiała za jego poważne i chamskie wykroczenie na zagranicznym boisku... odsunięciem od jednego meczu, co zakrawa na wyraźną kpinę. Wszystko to od dawna wiadomo I co? I nic.

A przecież istnieje cały skomplikowany i różnorodny system kontroli, którym objęte są kluby, sędziowie, zawodnicy. Istnieją różne formy utrzymania publiczności w ryzach. Jest federacja sportu, są kluby, wiązki. I jest wielka pobłażliwość. Zapewne to co dzieje się na stadionach i boiskach ma różne i czasem skomplikowane przyczyny. I trzeba do tych przyczyn też sięgać, ale to w niczym nie usprawiedliwia pobłażliwości, z jaką traktuje się czasem wybryki publiczności, zawodników oraz błędy i nieudolność sędziów. Pisze się i mówi o tym od dawna. A czas zacząć skutecznie działać.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH (4)

dłonie i pięści

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rys. J. Szymański — Glanc

Rumba w egzotycznym mieście rżnie już teraz prawie na cały regulator. W sali treningowej czarny JACK PANADERO stoi naprzeciw skórzanego worka w otoczeniu trzech Murzynów i jednego bielaska. Jakkolwiek mamy do czynienia z olimpiadą i mowy nie ma o żadnych brudnych chwytach, na worku zarysowana jest kredą sylwetka człowieka: głowa, szyja i tułów (po klejnoty rodzinne). Dziwnym zbiegiem okoliczności na „głowie" zaznaczone są dwiema kreseczkami szramy na prawym policzku i zszyty, łatwy do rozkwaszenia lewy łuk brwiowy. Poza tym zaznaczona jest krzyżykiem wątroba i serce, co jednakże posiada już każdy bokser i w ogóle każdy człowiek, a nie tylko przeciwnik Jacka Panadero — Jerzy Kidas vel Pokiereszowana Twarz. Jack Panadero, wyglądający dość sympatycznie: spokojny, luźny, uśmiechnięty — z uwagą przecież słucha instrukcji Bielaska, który wytyka palcem kredowy łuk brwiowy na worku, jakby chciał powiedzieć: — Tu musisz strzelić parę razy, chłopie! Jak tu strzelisz, wcale nie mocno! To będzie krew, a krew na sędziach robi wrażenie, rzucą ręcznik, odeślą faceta do rogu, i masz ZŁOTO. No! — dotyka palcem kredowego serca i wątroby — ale to się liczy najbardziej! Krew jest na pokaz, natomiast bijąc w serce i w wątrobę, odcinasz facetowi siły. Spróbuj! — I Panadero zaczyna młócić worek: serce—wątroba, wątroba—serce i... pac! pac! rozbity łuk brwiowy...

Mieszkanie Anny, która stawia przed teściową i chłopakiem dwie szklanki mocnej herbaty i półmisek kanapek: masło, plaster sera, szynki, pomidora i chrzan na każdą kromkę ukośnie srojonej angielki.

— Jak dla Jurka — uśmiecha się blado niewiasta.

Chłopak przygląda się Annie spod oka: widzi bladą, stężoną, wyostrzoną nerwami twarz i rękę, w której drży któryś tam z rzędu papieros.

— Powinnaś wziąć luminal i przespać się ze dwie godziny — mówi.

— Pewnie — wtóruje niewiasta. — Bardzo źle wyglądasz, sen dobrze ci zrobi.

Anna wychodzi bez słowa do sąsiedniego, zaciemnionego pokoju, kładzie się na dwuosobowym, niskim, wspomnianym w pierwszej sekwencji tapczanie. Z nocnego stolika wyjmuje szklaną fiolkę, z fiolki — pigułkę. Gryzie ją z chrzęstem i zapija łykiem wody ze szklanki.

W pokoju stołowym chłopak żuje z apetytem kanapkę. Coś jakby się z lekka nudził, bo pyta nieśmiało niewiastę:

— Mogę włączyć cichutko telewizor?

— Oczywiście — odpowiada niewiasta. Wymyka się do kuchni. Po chwili wraca — na ekranie druga część finałowego meczu piłkarskiego Węgry-Bułgaria — i mówi do chłopaka, który zdążył w międzyczasie ściągnąć i powiesić na poręczy krzesła kraciastą marynarkę: — Pójdę do Anny.

Idzie do Anny, która leży z otwartymi oczami, paląc chciwie papierosa.

— Wiesz, też wzięłam luminal — powiada. — Ale chyba nie zasnę...,

W egzotycznym mieście słońce chyli się z wolna ku zachodowi, a rumba dzwoni teraz z maksymalną siłą: marakasy, kastaniety, czynele. Setki aut na jezdniach, tysiące ludzi na chodnikach — wszystko to płynie w jednym jedynym, określonym kierunku, w stronę pięknej, białej, supernowoczesnej, ozdobionej godłem olimpijskim i flagami kilkudziesięciu państw Hali Sportowej. Część ludzi przecieka do wewnątrz, choć widownia zapełniona jest już po brzegi, wielu zostało pod licznymi, dobrze strzeżonymi drzwiami, próbując jakoś sforsować przeszkodę. Chmara rozwrzeszczanych małolatów oblega autokar, który zatrzymał się przed wejściem dla zawodników i z którego, w otoczeniu licznej, czarno-białej asysty, wysiada Jack Panadero. Ma na sobie ten zjadliwo zielony szlafrok. Uśmiecha się, szczerząc białe zęby, unosząc do góry ręce na użytek fotoreporterów i kibiców, a może także na użytek swego przeciwnika, bo....

przed wejściem dla zawodników pojawia się przeszklony, niebieski autokar z napisem POLONIA, z którego oprócz trenerów, masażystów i działaczy wychodzi kilku sprężystych chłopaków, a wśród nich także POKIERESZOWANA TWARZ.

Rumba dzwoni jak szalona, a obaj kandydaci do ZŁOTA mierzą się przez chwilę wzrokiem: pierwsze starcie, choć do walki jeszcze dwie godziny, pierwsza milcząca próba sił — z jednej strony czarny uśmiech, z drugiej biała powaga, z jednej uniesione do góry pięści, z drugiej skromnie opuszczone ramiona. SPŁASZCZONY NOS popycha lekko POKIERESZOWANĄ TWARZ do wejścia. JACK PANADERO wykonuje lamparci skok i zastawia im drogę. I pyta z tym swoim radosnym, sympatycznym uśmiechem:

— How are you, amigo?

— I am fine — odpowiada POKIERESZOWANA TWARZ. — Thank's,

Mieszkanie Anny.

Chłopak śpi w fotelu przed telewizorem.

W sąsiednim pokoju Anna sięga ręką ponad głową teściowej po drugi proszek. Gryzie go, zapija resztką wody ze szklanki i na nowo podejmuje beznadziejną walkę o sen, wsłuchując się w spokojny, równomierny oddech teściowej, w szmer wyciszonej transmisji za ścianą, w dom wibrujący setką telewizorów, w miasto, które mimo późnej nocy czeka, CZEKA...

Proszki zaczęły działać. Zbliżenie na twarz, na zamknięte powieki. Chęć zaśnięcia i lęk przed zaśnięciem, typowy dla ludzi z ciężką nerwicą, ze stenokardią, z wszelkimi chorobami serca. Jest moment, kiedy Anna traci świadomość: odpręża się twarz, wiotczeją ramiona... Potem raptowne przecknięcie i nerwy zaczynają przebijać się z wolna przez senność i zmęczenie.

Wstaje. Podchodzi do okna. Patrzy na zegarek w świetle ulicznej latarni.

Druga.

Zapala papierosa. Snuje się z kąta w kąt w ciemnościach. Porusza ustami, jakby zaschło jej w gardle. Zagląda do szklanki. Pusta. Cicho uchyla drzwi do pokoju z telewizorem. Studio olimpijskie nadaje pokaz gimnastyki rekreacyjnej. Wysoka, zgrabna dziewczyna w czarnym kostiumie robi przysiady, skłony. Chłopak śpi w fotelu, z szeroko rozstawionymi nogami; koszula rozchełstana po pępek, po modny, skórzany pas...

Anna przygląda się chłopakowi: zrazu zdziwiona jest obecnością, później zaciekawiona samym ciałem — tak jakby przez dziesięć ostatnich lat nie widziała z bliska obnażonego torsu mężczyzny. Przenosi wzrok z torsu na przystojną, pełną, dobrze wymodelowaną twarz, na uchylone, czerwone wargi, wysokie czoło, zmierzwione, spadające na bok włosy o pszenicznym, skandynawskim kolorze...

Zbliża się do śpiącego.

Wyciąga rękę, jakby chciała go obudzić albo przynajmniej dotknąć.

Cofa rękę.

Znowu wyciąga.

Znowu cofa.

Przemyka na palcach do kuchni. Pije prosto z kranu zimną, nachlorowaną wodę. Zapala gaz i... kolejnego papierosa.

Wsypuje do szklanki dwie czubate łyżki kawy, zalewa je wrzątkiem z czajnika.

Siedzi przy kuchennym stole wspierając brodę na dłoniach i ślepiąc ociężałym, pustym wzrokiem w ścianę.

Głowa opada jej raz i drugi.

Podchodzi do okna. Otwiera je. Robi kilka głębokich oddechów. I nagle wstrząsa się, bo przez uchylone drzwi dochodzą ją dźwięki olimpijskiego hejnału, a zaraz potem podniecony, szczerze zdenerwowany głos spikiera: — A więc, proszę państwa, FINAŁY! Nasze ZŁOTO lub SREBRO, nasze BYĆ albo NIE BYĆ. Trzech naszych walczy, proszę państwa! TRZECH!...

Anna wpada do pokoju stołowego i brutalnie potrząsa chłopakiem.

On, zrywając się: — Co jest?

Ona, wskazując na ekran z obnażonym ringiem pośrodku — To!

— Już?...

— Słuchaj! — mówi chłodno Anna. — Ja do końca będę tam! — Wskazuje sypialnię. — A matka będzie tam! — wskazuje kuchnię. — My tak zawsze „oglądamy". OSOBNO! Ty możesz sobie patrzeć, ale nie chcę, żebyś mi przeszkadzał, żebyś wchodził, żebyś mówił, kto wygrał, kto przegrał!...

Wbiega do sypialni. Budzi teściową, która, najwyraźniej zawstydzona, że udało jej się zasnąć, przechodzi pokornie na swój posterunek do kuchni.

Wszystkie drzwi zostają zamknięte.

Starsza kobieta przygotowuje sobie drżącmi rękami herbatę.

Chłopak wyostrza obraz i wzmacnia fonię, patrząc z zaciekawieniem na pierwszą walkę.

Anna wyjmuje z tapczanu pościel, ale nie po to, żeby stać, lecz żeby mieć pod ręką kołdrę.

Stołowy. W drugiej parze finałów walczy Polak.

Sypialnia. Anna ma przed sobą wycięty z gazety rozkład turnieju, więc wie, że teraz walczy Polak. Kiedy słyszy przez zamknięte drzwi tony nieznanego marsza, ma pewność, że Polak przegrał.

Stołowy. Chłopak śledzi z uwagą dwie obce walki. Pod koniec drugiej głos sprawozdawcy zaczyna brzmieć nerwowo, gdyż zaraz znowu kolej na Polaka i to w starciu bezpośrednio poprzedzającym walkę Pokiereszowanej Twarzy. GRUDZIEŃ, KIDAS, GRUDZIEŃ, KIDAS!... Gong dla Grudnia.

Anna słyszy to przez szczelnie zamknięte drzwi, a zaraz potem znowu dobiegają ją dźwięki nieznanego marsza. Przyciąga do siebie kołdrę, zapala papierosa, który chodzi jej w palcach jak wskazówka metronomu.

Stołowy. Chłopak też zapala papierosa, patrząc z wytężoną uwagą na uśmiechniętego, witanego eksplozją braw JACKA PANADERO i na POKIERESZOWANĄ TWARZ, który przeciska się pomiędzy linami ringu.

Kuchnia. Starsza kobieta składa dłonie i szepcze coś zbielałymi ustami.

Stołowy. Powitanie. Rękawice JACKA PANADERO stykają się lekko z rękawicami POKIERESZOWANEJ TWARZY. Wracają do narożników. SPŁASZCZONY NOS zakłada POKIERESZOWANEJ TWARZY ochraniacz szczękowy. Biały sekundant Jacka PANADERO zesznurowuje pupilowi rękawice.

Sypialnia. Słysząc gong, Anna wypuszcza z ręki papierosa i zarzuca kołdrę na głowę. I nic już nie słyszy; liczy wolno, rytmicznie: RAZ-DWA-TRZY-CZTERY, podczas gdy papieros tli się smrodliwie na dywanie. Kiedy dochodzi do SIEDEMDZIESIĘCIU OŚMIU — nie wiadomo, dlaczego akurat do SIEDEMDZIESIĘCIU OŚMIU, skoro runda składa się z trzech minut czyli ze stuosiemdziesięciu sekund? — zrzuca kołdrę i słysząc gong kończący pierwsze starcie, patrzy przez pełną minutę na sekundnik dziobiący tarczę zegarka. Patrzy i tak zwanymi oczami wyobraźni widzi w narożniku POKIERESZOWANĄ TWARZ.

POKIERESZOWANĄ TWARZ widzi również chłopak w stołowym. Rozparte na linach ramiona. Jeszcze dobry; silny, skupiony. Wierzy. Słucha podszeptów trenera.

Sypialnia. Sekundnik wykonał już swoją drogę. Słysząc gong, Anna znowu zarzuca kołdrę na głowę i znowu zaczyna liczyć do siedemdziesięciu ośmiu: wolno, rytmicznie, mechanicznie. Latają jej przed oczami postrzępione obrazy. Błyski. Rotacja. Spóźniony unik. Seria w powietrze. Szybki hak z dołu. Kontra czarnego. Gong. Przerwa i sekundnik zegarka. I widok POKIERESZOWANEJ TWARZY. Siedzi w rogu ociekając potem...

Stołowy. Ekran. Siedzi w rogu ociekając potem. Trener z ręcznikiem. Troskliwy szept SPŁASZCZONEGO NOSA, instrukcja, która zdaje się już do POKIERESZOWANEJ TWARZY nie docierać. Jest zmęczony. Płytki, chaotyczny oddech; wykrzywiona napięta bólem maska.

Kuchnia. Starsza kobieta nasłuchuje, jakby mieli zaraz wpaść gestapowcy.

Sypialnia. Gong i Anna po raz ostatni zarzuca kołdrę na głowę. Po raz ostatni liczy do siedemdziesięciu ośmiu. Zaciska powieki, ale wspomnienie snu z pierwszej sekwencji POWRACA.

POWRACA I SPRAWDZA SIĘ: zrobił zajstep, uderzył, nie trafił, odkrył korpus i wtedy czarny, mierząc w rozkwaszony łuk brwiowy, strzelił go zwodem w wątrobę.

I Kidas wali się czołem na deski.

Eksplozja braw. Wilgotny, czarny, drapieżny kwiat na ringu.

Anna tkwi w bezruchu.

Nie zdejmuje kołdry z głowy, przyciska ją oburącz do uszu.

Wpada chłopak i zaczyna zrywać z niej tę kołdrę. Anna krzyczy:

— Nie! Nie!

Ale chłopak jest silniejszy. Wlecze ją przez pokój do ekranu, wrzeszcząc, że jednak zwycięstwo, złoto, CHWAŁA!

— Nie żaden tam czarny, ale Jerzy! Słyszysz, idiotko! Jerzy! JERZY!

Stara, stojąca przed ekranem kobieta, łka zasłaniając się rękami. Anna podnosi wzrok, jakby miała zobaczyć trupa i widzi przez łzy tę cholerną rozbitą, przeoraną bliznami, najdroższą na świecie twarz. Pięści uniesione w górę gestem zwycięstwa.

Przytula się do starej.

Chłopak ściąga z krzesła kraciastą marynarkę i wymyka się chyłkiem z mieszkania. Cała klatka schodowa, cały dom, całe miasto szemrze o czwartej nad ranem tysiącami telewizorów, rozbrzmiewa odgłosami radości. Na ulicy chłopak wyjmuje z kieszeni notatki. Drze je i wrzuca do kosza.

Anna trzyma teściową w pół i patrzy w ekran. Hymn polski grają i polska flaga, wędruje na maszt. POKIERESZOWANA TWARZ podaje z najwyższego kloca rękę JACKOWI PANADERO, a później, poprzez ekran, zdaje się uśmiechać do Anny, i Anna wie, że nie liczą się lata samotności, wyrzeczeń, nerwów, udręki, choroby, że liczy się tylko kilka tych chwil, najpiękniejszych, najszczęśliwszych w życiu.

Koniec

TOM DZIEWIĄTY

Trzy lata temu, w 1973 roku Państwowy Instytut Wydawniczy rozpoczął realizowanie wcześniej ogłoszonej subskrypcji na pełne wydanie „Księgi tysiąca i jednej nocy". Tom pierwszy z tego dziewięciotomowego wydania oddano do składania w Poznańskich Zakładach Graficznych im. M. Kasprzaka w grudniu 1972 roku. Druk tomu pierwszego ukończono w sierpniu 1973 roku, a tomu ósmego — w listopadzie 1973 roku. Razem z Zakładami Graficznymi w Toruniu dość szybko uporano się z wydaniem 8 tomów „Księgi tysiąca i jednej nocy". A trzeba przy tym pamiętać, że ilustracje drukowały VEB Graphische Werke w Zwickau. Jak na współpracę trzech partnerów przy wydawaniu jednej serii wszystko załatwiono bardzo szybko. I można byłoby powiedzieć, że to już historia.

Ale nie. Ma ona swój ciąg dalszy, który dopełnił się w trzy lata później, czyli w 1976 roku. Subskrybentom bowiem zapewniono premię w postaci tomu 9 czyli inaczej suplementu, na który złożyły się „Przypisy i objaśnienia". Ten tom 9 każdy subskrybent miał otrzymać gratis. Bardzo to ładnie ze strony PIW. Pierwszy nakład „Księgi z tysiąca i jednej nocy" rozszedł się bardzo szybko, tak, że PIW wespół z „Domem Książki", mogli wydrukować kolejne wydanie tej pozycji i ponownie ją rozprowadzić. A przez ten cały czas subskrybenci wydania pierwszego czekali sobie na obiecany tom 9.

I aby jeszcze bardziej skomplikować im życie „Dom Książki" wpadł na niezwykle dowcipny pomysł, zabrał im dowody subskrybcji a w ich miejsce wydał talony, upoważniające do odebrania 9 tomu „Księgi tysiąca i jednej nocy". Niby — z pozoru oczywiście nie ma w tym żadnej różnicy, aliści nie byłoby jej w ogóle, gdyby tom 9 ukazał się wkrótce po tomie 8. Na ten darmowy tom przyszło subskrybentom czekać aż trzy lata. Tom ten PIW oddał do składania w Zakładach Graficznych w Toruniu w maju 1975 roku, a druk ukończono tam w grudniu 1975 roku. Tak więc trzeba było przez trzy lata chodzić do księgarń „Domu Książki" i pytać, czy już nadszedł tom 9 „Księgi tysiąca i jednej nocy", co nie było rzeczą przyjemną, jako że był to tom gratisowy, ofiarowany niejako w prezencie subskrybentom. A chodzić i pytać, czy nadszedł dla mnie prezent?

Można się więc domyślać, że wielu subskrybentów do dziś nie wie, że w księgarniach „Domu Książki" czeka na nich prezent. Ale jeśli do tej pory nie poszli i 9 tomu „Księgi tysiąca i jednej nocy" nie odebrali, to nic nie stracili. Kolejny paradoks w tej historycznej już subskrybcji polega na tym, że jest tom „Przypisów i objaśnień", który trzeba czytać oddzielnie, jako zupełnie odrębną lekturę. Są to bowiem przypisy do niczego, czyli tak sobie, „sztuka dla sztuki". Oto na przykład otwieramy „suplement" na str. 29. U samego dołu strony znajdujemy przypis: „kurzawa". W gruncie rzeczy wiadomo, co to jest. Ale być może w tym konkretnym przypadku znaczy coś innego. Przypis ten odnosi się do tomu I, strony 62, do słowa użytego w piątym wierszu od góry.

Sięgamy teraz po tom pierwszy i na stronie 62 szukamy jakiegoś odnośnika do tego przypisu. Daremna praca. Nie ma tu nic takiego. W piątym wierszu od góry jest natomiast zdanie: „... gdy nagle rozpętała się kurzawa i ze środka pustyni nadciągnął potężny huragan." Nic w tym zdaniu nie ma niezrozumiałego. Nigdy nie przyszłoby chyba nikomu do głowy szukać jakiegokolwiek objaśnienia. Wróćmy jednak do „suplementu" i zobaczmy o co tam chodzi?

„Kurzawa — mowa tu o trąbie powietrznej, która w postaci wirującego słupa kurzu jest częstym widowiskiem, zwłaszcza na obszarach pustynno-stepowych. Według ludowych przesądów takie wirujące kurzawy były wywoływane przez przelatujące demony."

Ale żeby dowiedzieć się, co to jest k u r z a w a trzeba najpierw przeczytać suplement, który ukazał się w t r z y lata później. Wszystko to jest niezwykle zabawne i bardzo „oryginalne" w naszej praktyce wydawniczej.

„Księga tysiąca i jednej nocy. Przypisy i objaśnienia. Tom 9. PIW, Warszawa 1976, str. 372.

FOTOGRAFUJEMY W KOLORZE

Modna jest ostatnio nie tylko kolorowa telewizja, modne jest także fotografowanie w kolorze. Sprawa wydaje się o tyle prosta, że jeśli już mamy aparat fotograficzny, to zamiast czarno-białego filmu kupujemy błonę ORWO CHROM UT 18 lub 16, szybko studiujemy dołączone do niej wskazówki, jak ustawić czas i przysłonę, pstrykamy wakacyjne zdjęcia, potem oddajemy je do wywołania, potem tniemy film na poszczególne klatki, oprawiamy w rameczki — bo przecież modne są przezrocza — wyciągamy z szafy rzutnik, stawiamy pierwszą ramkę z kolorowym zdjęciem i wtedy okazuje się, że cały nasz wysiłek, nie licząc kosztów finansowych, diabli wzięli. Zdjęcia są prześwietlone lub niedoświetlone, kolorki albo upiorne, albo niebo jest tak niebieskie, że właściwie innych barw na zdjęciu już nie widać.

Dla tych wszystkich, którzy chcieliby dobrze fotografować w kolorze, Roger Rössing napisał książkę pt. „Fotografia barwna", a Wydawnictwa Naukowo-Techniczne udostępniły nam jej polski przekład. Ten podręcznik fotografowania barwnego uwzględnia wiele problemów, począwszy od doboru odpowiedniego filmu, stosowania różnego rodzaju kamer, przysłon i filtrów, aż po szczegółowe wymagania dotyczące fotografowania różnych obiektów.

W skrócie można powiedzieć, że Roger Rössing odsłania nam nie tylko wiele niuansów technicznych, niezbędnych podczas fotografowania, ale także uczy, jak należy patrzeć na barwy i obrazy. Uczy cierpliwości i samokrytycyzmu, przekazuje wiele podstawowych wiadomości o technice fotografowania i wiadomości o nieco wyższym już stopniu wtajemniczenia.

Słowem warto, nim znów założymy do aparatu kolorowy film, zerknąć do „Fotografii barwnej". Przy następnym przeglądaniu naszych „dzieł" wyraźnie poprawi się nam humor, a goście, którym owe „dzieła" będziemy prezentowali, nie będą mieli okazji do stwierdzeń: — Czy koniecznie musieliście te zdjęcia robić ciemną nocą?

Roger Rössing — „Fotografia barwna", tłumaczył J. Smoniewski, Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Warszawa 1976, str. 83, cena: zł 35,—

DOM U ROZSTAJNYCH DRÓG

Tytuł tej powieści doskonale oddaje jej treść, zamierzenie autorki. Akcja toczy się w 1944 roku a więc w czasie drugiej wojny światowej. Miejsce akcji — Estonia, a ściśle jedna ferma na estońskiej ziemi. Jest to ferma Rihva. Tutaj spotykają się różni ludzie. Zbliża się front. Zmienia się sytuacja polityczna, która zmusza ludzi do określenia swojej postawy, uzewnętrznienia poglądów, zajęcia stanowiska.

Na fermie Rihva życie toczy się niejako na dwu płaszczyznach. To normalne, codzienne życie, dzięki któremu ferma może w ogóle egzystować. I to drugie, narzucone, wymuszone sytuacją. W tym drugim życiu uczestnicza różni uciekinierzy, ludzie, których los zagnał właśnie w to miejsce, gdzie jak w soczewce skupiają się losy ludzkie, gdzie jak w soczewce można pokazać ludzkie postawy. Bohaterów w tej powieści jest wielu, ale głównym jest kobieta ze swymi niepokojami, wątpliwościami, doznaniami, problemami, kobieta która w tych trudnych czasach potrafi znaleźć harmonię duchową, spokój i opanowanie aby wyjść z nich z poczuciem dobrze spełnionego życia.

„Dom u rozstajnych dróg" napisała Aimée Beekman — pisarka estońska, urodzona w 1933 roku, która w 1956 roku ukończyła studia w Instytucie Kinematografii, a później pracowała w filmie. Wydała ona 6 powieści, między innymi: „Mali ludzie", „Lustro w studni", „Katarynka". Należy do najpopularniejszych pisarzy w Estonii. Interesuje ją głównie człowiek, z całym bogactwem swoich wewnętrznych przeżyć, co autorka potrafi przekonywająco pokazać czytelnikowi. Pisze prosto, oszczędnie, w sposób wyważony, spokojny.

„Dom u rozstajnych dróg" ukazał się w serii PIW: „WSPÓŁCZESNA PROZA ŚWIATOWA".

Aimée Beekman — „Dom u rozstajnych dróg", Tłum. Wiera Bieńkowska, PIW, Warszawa 1976, str. 319, cena: zł 55,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

OBYCZAJE

Dziczeją nam jakby obyczaje i to nie tylko w tramwaju, w kolejce i na ulicy. Także w kulturze. Pamiętam jak pewna poważna instytucja ogłosiła konkurs poetycki z jakiejś okazji. Poeci napisali wiersze, wysłali na konkurs i w odpowiednim czasie dowiedzieli się z gazety wyników. Poczekali jeszcze parę dni i nagrody otrzymali... poczty.

Nikomu z ogranizatorów nie wpadło do głowy, aby autorów zaprosić, uścisnąć twórcze dłonie dłonią urzędową, rzeknąć miłe słówko i w ogóle zachować się kulturalnie.

Ale co się wyprawia dalej? Otóż z nagrodzonych wierszy zrobiono montaż poetycki, uświetniający uroczystość z okazji której ogłoszono konkurs. Poeci i tym razem dowiedzieli się z gazet, że ich wiersze recytowano, że w ogóle był jakiś koncert poetycki, którego byli w końcu współtwórcami.

Nikomu z organizatorów nie wpadło do głowy, aby autorów zaprosić na imprezę.

Nie piszę gdzie i kiedy miała miejsce ta szczególna elegancja, wobec autorów, bo było to dość dawno, pisałem o tym zresztą, a ponadto instytucja ta już nie istnieje. Ale obyczaj pozostał. Obyczaje mają żywot trwalszy od instytucji.

Tym razem jednak napiszę konkretnie, bo sprawa jest nowa i adresat niedaleko. Otóż w kieleckim teatrze przygotowywano premierę sztuki łódzkiego autora. Dwa dni przed spektaklem autor otrzymał zaproszenie na premierę. Widziałem ten druczek. Standardowy bilecik, na którym wypisano, że jeśli autor potwierdzi telefonicznie swoje przybycie, rezerwuje się dla niego 1 (słownie: jedno) miejsce. I tyle.

Oczywiście autor nie pojechał. Nawet nie dlatego, że się obraził, choć go ta forma zawiadomienia zapewne zdziwiła. Po prostu został powiadomiony w ostatniej chwili, a poza tym...

Spektakl kończy się gdzieś koło 22.00, do Łodzi trzeba by wracać pół nocy, a na rezerwację hotelu oczywiście było już za późno.

Więc tak sobie myślę. Wystawia teatr współczesną sztukę autora mieszkającego o sto parę kilometrów. Nie zaprosili go na próby — niech tam! Sami wiedzą lepiej. Nie zaproponowali, aby napisał parę słów do programu — niech tam! Sami napiszą. Ale że nie stać było dyrektora teatru na napisanie normalnego listu, na zaproszenie trochę bardziej eleganckie niż na druczku?

Albo — jeśli już marzyć, to na całego — czy nie można było zarezerwować hotelu na tę premierową noc, czy nie można było a u t o r o w i sztuki umożliwić obejrzenie premiery choćby tylko w towarzystwie najbliższych? A tu druczek i tekst: „jedno miejsce, prosimy potwierdzić rezerwację". W ostatniej chwili!

Oszczędność? Nie, to nie oszczędność, tylko zwykłe grubiaństwo, brak kultury.

Lat temu bez mała dwadzieścia „Przekrój" drukował wzruszający tekst na temat współpracy autora z teatrem. Czego tam nie było! I udział w próbach analitycznych i konsultacje z reżyserem, i dyskusje ze scenografem... W tym reportażu (opowiadaniu?) dramaturg okazał się prawdziwym współtwórcą scenicznego kształtu swojego utworu. Ale cóż — od tamtych lat minęło sporo czasu.

Zdaję sobie sprawę, że — na szczęście — nie każdy teatr traktuje autora jak intruza. Jest tu zresztą pewna prawidłowość. Teatry i dyrektorzy wysokiej klasy nie potrzebują utwierdzać swojej pozycji poprzez lekceważenie współpracowników. Ale to już inna historia i dziedzina obyczaju, wykraczająca daleko poza teatr i poza jedno środowisko.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CO MYŚLĄ PSZCZOŁY?

W jednym z pism czytam o perypetiach obywatela z własnym samochodem na wybrzeżu, w pełni sezonu letniego. Samochód wymagał niewielkiej naprawy, ale wszystkie dość liczne, prywatne punkty usługowe pracowały wyłącznie na rzecz klientów obcojęzycznych, a punkty uspołecznione miały „obłożony portfel" i dawały terminy parotygodniowe. Klienta mówiącego po polsku zbywali fachowcy ledwie wycedzonym półsłówkiem, wśród tych zaś, którzy mówili po niemiecku, bezbłędnie rozróżniano obywateli NRD od innych i odpowiednio stopniowano zainteresowanie ich kłopotami.

W innym piśmie czytamy o tym, jak to w Warszawie wychodząc z hotelu trzeba koniecznie odezwać się do taksówkarza po angielsku, francusku albo jeszcze lepiej — w języku całkowicie nieznanym, bo inaczej kierowca nigdzie nie pojedzie. Zdaje się, że autorem artykułu o warszawskich taksówkarzach był Polak z Francji, który ze starej ojczyzny wrócił do siebie z takim właśnie obrazem Polski w oczach.

Słowo „dolar" stało się magicznym zaklęciem, otwierającym nie tylko drzwi, ale także głębokie a niewyżyte pokłady sterowanej gościnności, życzliwości i niemal gorących uczuć. Dolar stał się mitem, przedmiotem marzeń, pościgu, wyścigu i ostrej walki. Jest też przedmiotem codziennych rozmów i nie ma stenotypistki, kelnera, repasaczki i hydraulika, którzy by nie byli oblatani w bieżącym kursie dolców — innym rano niż wieczorem, innym w Warszawie i Łodzi, innym przed przybyciem „Batorego" i po jego odejściu. Nasze ciężko i uczciwie zarobione złotówki nie cieszą się uznaniem panów ogrodników i pań z wycieczek orbisowych, nie stymulują też niczyich dobrych chęci w kierunku wzmożenia wysiłków w pracy, dodania do tej pracy uśmiechu i starania.

Na te same złotówki zresztą różnie się patrzy. Podobno — tak podała prasa — bilety na miejskie środki komunikacji będą ważne we wszystkich miastach kraju. No pewnie: przecież bilet tramwajowy kosztuje złotówkę zarówno w Łodzi, jak w Poznaniu. Ale żadne bilety poza warszawskimi nie będą ważne w Warszawie. Tam też tramwaj kosztuje złotówkę, ale to są widocznie inne złotówki i naszych łódzkich tam nie biorą. Oczywiście, że płacąc za bilet w Łodzi wzbogacam przedsiębiorstwo łódzkie, a jadąc tramwajem w stolicy — nadużywam stołecznych środków lokomocji. Warszawa gości szczególnie wielu przyjezdnych i chce wykonać swój plan obrotów.

Księgowi rządzą światem. To jest to samo zjawisko co z miodem w Beskidach: wieś żyjąca z hodowli pszczół, a położona w granicach województwa krośnieńskiego, odprzedała miód w najbliższym punkcie skupu, leżącym w województwie przemyskim. Ale hodowcy muszą dostać przydział cukru na dożywianie pszczół, a przydział dostaje się od władz wojewódzkich. Teraz Krosno nie chce dać przydziału, bo nie dostało miodu, a Przemyśl nie może dać przydziału, bo wieś jest spoza województwa. Inne złotówki, inny bilans. Księgowi wpisują cyferki do odpowiednich kartek, tu plan, tam realizacja. Za daleko od kartki do kartki, dalej niż z Krosna do Przemyśla. Nie wiemy, co o tym myślą pszczoły. Pszczoły nie miałyby kłopotów, gdyby ograniczyły się do zbierania pyłku z kwiatów, nie licząc na wojewódzki cukier. hodowcy nie mieliby kłopotów, gdyby kupowali i sprzedawali za dolary. Ale tego im nie podpowiadajmy, bo wezmą poważnie i co?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

UCZMY SIĘ SAMI

Był kiedyś taki czas, kiedy tuż przed dziennikiem telewizja lulała bajeczką do snu nasze pociechy. Teraz jakiś telewizyjny spryciarz wpadł na iście szatański pomysł, aby ostatnie pół godziny przed telewizyjnym wieczorem z dziennikiem poświęcić już nie tylko dzieciom, ale też i młodzieży. Pomysł jest szatański, bo wiadomo, że „dobranockę" oglądają wszyscy albo prawie wszyscy, podobnie jak i wieczór z dziennikiem, a nie każdemu opłaca się wyłączać telewizor na 20 minut, jakie dzielą „dobranockę" od DTV. I tak czy się chce czy się nie chce musi człowiek interesować się problemami dorastającego pokolenia.

W taki to właśnie sposób „siódemka" zwróciła moją uwagę na problem wielkiej i powszechnej popularności korepetycji. Ci, którzy uważnie czytają drobne ogłoszenia, wiedzą o tym już od dawna. Z ogłoszeń w ogóle można dowiedzieć się wiele ciekawych rzeczy o naszym życiu. Z drobnych ogłoszeń można było też wywnioskować, że korepetycje cieszą się dużą popularnością i że w tej dziedzinie podaż i popyt prawdopodobnie się równoważą. A chętni do udzielania korepetycji ogłaszają się jedynie dlatego, aby ułatwić sobie kontakt z kandydatami do nauki. W wielu wypadkach kontakt tak byłby bowiem niemożliwy, gdyby nie pośrednictwo biura ogłoszeń.

Z uważnej lektury ogłoszeń wynika, że korepetycji udzielają studenci, absolwenci, asystenci, doktoranci, obcokrajowcy, lingwiści. Można domyśleć się, że również emerytowani nauczyciele, inżynierowie, nauczyciele czynni, pracownicy różnych instytucji, którzy mają wolny czas i oczekują propozycji.

W czasie korepetycji uczy się dziś: języków obcych i języka polskiego, matematyki, chemii fizyki, ale też przygotowuje się do egzaminów maturalnych, wstępnych i wszelkich innych. Udziela się korepetycji i prowadzi się lekcje. Ba! Nawet drogą korepetycji można nauczyć się pisania wypracowań i prac maturalnych. „Siódemka" twierdzi że dziś już studenci nie tylko udzielają korepetycji, ale i sami je... pobierają.

Korepetycje nie są niczym nowym. Wystarczy sięgnąć do literatury i do historii literatury, aby przekonać się, że wielu bohaterów literackich, z trudem przeciskających się przez życie, udzielało korepetycji, a i wielu pisarzy, również mających życie niezbyt łatwe trudniło się tym samym. Tylko społeczny wymiar tego zjawiska był inny.

Telewizyjna „siódemka" zaprosiła specjalistę, który dokonał — jak przystało na naukowe podejście do przedmiotu — systematyki zjawiska. I tak już wiem, że są korepetycje uzupełniające albo wyrównujące i przeciwko tym „siódemka" nic nie ma. Są też korepetycje wspomagające i te bardzo się „siódemce" nie podobają oraz że są jeszcze korepetycje rozszerzające i te również — według „siódemki" — nie są cacy. „Siódemka" więc wypowiedziała wojnę korepetycjom i jest przeciw. To nawet bardzo ładnie z jej strony, bo powinno się być „za czymś" i „przeciw czemuś".

Problem korepetycji spędza już od dawna sen z powiek co światlejszych pedagogów, ale jak do tej pory bez specjalnego skutku. Bez skutku pozytywnego, bo negatywny jest — bujny rozkwit korepetycji. „Siódemka" więc oświadcza, że jest przeciw korepetycjom, że jej się nie podobają i nawołuje, aby uczniowie sami sobie pomagali, a nie korzystali z płatnej pomocy. Jednakże mam dziwne przeczucie, że będzie to głos wołającego na puszczy. Doświadczenie mi bowiem podpowiada, że aby móc wpłynąć na jakieś zjawisko społeczne, trzeba dotrzeć do jego przyczyn i nauczyć się nimi manipulować. Nie przypuszczam bowiem, aby nagle ludziom ni stąd ni zowąd chciało się wydawać pieniądze na naukę ich pociech.

Był taki czas, kiedy korepetycje były formą dorabiania dla nisko zarabiających nauczycieli. Nauczyciele tworzyli zespoły i posyłali sobie nawzajem uczniów ze swoich szkół, aby nie było podejrzenia, że douczają tych, których nie mogą nauczyć na lekcji. Coś z tego zostało do dziś — przekonanie, że w szkole i tak się wszystkiego nie nauczą. Kiedyś rodzic był w stanie pomóc swemu dziecku, dziś w szkole uczą takich rzeczy, że dorosły staje wobec nich bezradny. Sam musiałby najpierw brać korepetycje. A z drugiej strony chciałoby się temu dziecku pomóc, stworzyć takie warunki, aby nie był gorszy od dziecka przysłowiowego Kowalskiego. Rozbudziliśmy bowiem społeczne ambicje i tworzymy warunki do ich zaspokajania, ale jednak ciągle większe są ambicje od możliwości ich zaspokojenia. A kto z rodziców chce mieć wyrzuty sumienia, że nie stworzył swemu dziecku maksimum możliwości, że poskąpił, przegapił itp? Stąd korepetycje wspomagające i korepetycje rozszerzające, wychodzące poza program.

Ale, ale! Czy za to, że różni studenci, asystenci, absolwenci i magistrowie wychodzą naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu, bo tak to jest, trzeba ich winić, skoro różne instytucje organizowały i organizują kursy przygotowawcze do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie? Są to niby kursy dla tych, którzy się nie dostali w poprzednich latach ale nie przesadzajmy, maturzystów tam też można spotkać.

A więc nie wystarczy powiedzieć tylko, że coś jest „be" i że „my jesteśmy przeciw". Trzeba czasem zastanowić się, skąd to „coś" się bierze?

MARCIN RODAK

magazyn

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

KONCERT

Nikt właściwie nie zauważył, kiedy zjawili się między blokami. Niski pierwszy wyciągnął ukrytą pod połą marynarki gitarę i bojaźliwie rozejrzawszy się wokół, szybkimi, nerwowymi ruchami przebiegł po strunach. Nagle zdecydował się: — „Z młodej pierwsi siem wyrwało..." — zaczął piskliwie. Wysoki dopiero teraz wyszarpnął zniszczone skrzypce spod płaszcza i przyłożył do ramienia. Zdenerwowany nie mógł nadążyć za kolegą, gubił rytm, a słowny akompaniament ograniczył do cichego „mruczanda".

Dla ospałego, rozleniwionego jesiennym słońcem towarzystwa na ławkach i balkonach było to coś nowego — powoli odwróciło się kilka twarzy, w oknach pojawili się lokatorzy i pierwsze uśmiechy aprobaty. Jakieś starsze małżeństwo zgodnym chórkiem nuciło melodię.

Rozkręcili się, Wysoki nabrał wigoru, wyczyniał smykiem wesołe zawijasy w powietrzu, nie miał kłopotów z przygrywkami czy zmianami tonacji. Niemal bez antraktów zaprezentowali „Tango Nocturno", „Siekiera, motyka", zaczęli „Rozszumiały się..." gdy nagle coś załamało się.

Pijacki rechot z mieszkania na pierwszym piętrze nieprzyjemnie wtargnął w słowa piosenki: — Zocha, zobacz no tych na dole, o rany — rzempolą że uszy puchną. — Rzuć no im ze dwie dychy i niech sobie idą, albo czekaj — spytaj facetów czy znają „Balange"...

Nastrój prysnął niespodziewanie. Część słuchaczy z niesmakiem cofnęła się do wnętrza mieszkań, kilku wyrostków poczęło dogadywać i zaczepiać grajków. Krostowaty młodzieniec na ławce też poczuł się w obowiązku rzucić do sąsiadki: — teraz karkuluje się stepowanie. Zaśmiewał się z tego dowcipu do łez, choć był osamotniony.

Wysoki jeszcze nie wierzył, przecież szło tak dobrze, skąd ta zmiana? Niski przerwał pierwszy, zrezygnowany opuścił instrument i pociągnął przyjaciela za rękaw: — Chodź Feluś, tu już nic nie zwojujemy.

Zaczynało szarzeć. Szli ulicą szarą od kurzu, nie odzywali się, „broń" smutno sterczała spod marynarek. Niespodziewanie Niski ożywił się: — Wiesz, to te cholerne bloki ich zniszczyły. — Pójdziemy jutro na Starówkę, tam zagramy na całego i bez obciachu! Wysoki uśmiechnął się z niedowierzaniem, ale czemu nie spróbować?

MUSZLE

Z daleka wyglądali na tubylców — krępi, czarnowłosi, opaleni. Dopiero gdy zbliżyłem się, usłyszałem, że szepczą coś po polsku. Siedzieli okrakiem na szerokim murku, obok dużego kosza z muszlami. Kilka okazów — wielkości pięści tęczowymi barwami połyskiwało na kamieniu.

Zaczęli, gdy na pobliskim przystanku z autobusu wysypała się rozkrzyczana wycieczka. — Hej, rodacy, tylko tutaj — prawdziwa okazja: jedna muszla 30 stotinek, dwie — 50, do trzech dodaję jedną gratis; — brać, przebierać, duże, małe, a może pani woli ze ślimakiem, albo kraba — też mamy. Interes prosperował doskonale. Korpulentna blondyna z miejsca wzięła sześć sztuk, pan z dwoma aparatami fotograficznymi i kamerą — cztery, inni nie byli gorsi. No bo jak tu nie kupić — od „swojego" — to raz, zresztą w budce u Bułgara trzeba płacić drożej. I chłopcy tacy sympatyczni, nie oszukują, dowcipem sypną, a opaleni, że przyjemnie sobie z nimi zdjęcie zrobić i potem w pracy pokazać...

Po pół godzinie chłopaki sprzedali ostatniego kraba, resztę muszli wyrzucili za siebie do morza i ruszyli do domu. Rozmowa początkowo kulała, ale „bira" z lodu kruszyła nieufność.

— Panie, trzeba ruszać główką. Bułgaria, nie Bułgaria — do interesu nie można dokładać. Słońce i wodę to ja mam na Helu, jak już tu zasuwam, to niech mi się choć wycieczka zwróci i życie tutaj. Pan pierwszy raz — to widać. Czemu nie „kapy" — kochany, to przeszłość, kiepsko płacą, miejsce zajmują, numery ze zszywaniem już wszyscy celnicy znają. Pościelowe, krem „Nivea"? Można, ale towar trefny i tu też żaden „kokos". Natomiast muszeleczki.

— Trafiliśmy na to właściwie przypadkiem. Te Bułgary to wiesz pan, łapią to-to dla sportu — wyciągnie taką dużą sztukę i frajer wyrzuca. Pożyczaliśmy maski, płetwy, kajak i na morze; tam, w tych skałach pełno ich — tyle, że trzeba nurkować po 8—10 metrów. Jak wyciągnęliśmy pierwszą setkę, to ten facet z budki chciał nam dać po 5 stotinek za sztukę; nie zgodził się nawet na 20. Tośmy stanęli obok i przez godzinę sprzedali wszystkie, a on ani jednej. Z tymi krabami tylko trzeba uważać — te duże to potrafią szczypcami taki gruby kij przeciąć. Ale „chodzą" po 3 lewa. Że wstyd? Jaki wstyd, co to kradniemy, czy co?

Nie masz pan kuchenki turystycznej? Szkoda, bo nas gospodyni z kwatery wyrzuciła. E, tam — drobiazg. Rozumiesz pan, te muszle trzeba ugotować we wrzątku, to się ślimaki ładnie odlepią. Ale długo się gotują i w dodatku trochę brzydko pachną. My zaś codziennie po sto sztuk i to w największym garnku...

POWIĘKSZENIA

„RAZEM" I „OSOBNO"

Dopiero teraz dotarł do nas wycinek z kolorowego pisma dla młodzieży pn. **„Razem"**. Piszą tam o autorze **„Powiększeń"** per **„pieszczoch, humorysta, żartowniś, kawalarz"** oraz **„nasz ulubieniec"**. Szalenie to miłe, zwłaszcza, że nasz kontakt z „Razem" urwał się już po lekturze pierwszego numeru. Nie byliśmy zresztą w tym odosobnieni.

O co chodzi naszym podtatusiałym młodzieżowcom? Ano, chodzi o to, że chcą nas wysłać do szkoły. Zalecają także lekturę: „Podręcznik języka polskiego" dla klasy III szkoły podstawowej zbiorczej. To oczywiście drobiazg, że podręcznika pod takim tytułem w ogóle nie ma. Szczegóły nieważne, gdy ktoś ma wprawę w wysyłaniu dokądkolwiek — do szkoły, do lamusa, czy jeszcze gdzieś...

Zuchy z **„Razem"** obiecują także wyjaśnić „przy innej okazji", co znaczy „zespół redakcyjny", ponieważ „Powiększenia" miały nieostrożność wyrazić zdziwienie, że zespół tygodnika składa się z trzydziestu czterech redaktorów.

Ależ po co czekać! Zespół redakcyjny to **„grupa stałych, etatowych pracowników redakcji"**. Tylko, że ta definicja z **„Encyklopedii wiedzy o prasie"** ani na jotę nie zmniejsza naszego zdziwienia. Zwłaszcza, że istnieją pisma o półmilionowym nakładzie sprzedawanym regularnie bez zwrotów, redagowane przez zespoły nie przekraczające dziesięciu osób.

Ale w końcu nie o to chodzi. Ważne, że autor rubryki **„Osobno"** dobiera starannie historyjki publikowane uprzednio w **„Polityce"**, **„Kulisach"** i gdzie indziej, że wymyśla dowcipy na tematy ograne po stokroć, a jednocześnie ma znakomite samopoczucie. I choć nie można go nazwać ani kawalarzem, ani humorystą, ani żartownisiem — jest naprawdę bardzo śmieszny. Niestety.

Z PIOTRKOWA DONOSZĄ

„Gazeta Ziemi Piotrkowskiej" zaowocowała nam takimi tekstami:

„Dobrze by było, żebyśmy się nie dali zaskoczyć wiośnie, by zaowocowały wreszcie niemałe kwoty wydatkowane z miejskiego funduszu mieszkaniowego..." I dalej: **„Czy partycypując w kosztach piotrkowskie zakłady pracy nie zdołałyby nakładem własnych sił i środków wyprzedzić wespół z Urzędem Miejskim budowy wodociągu do planowanej izby wytrzeźwień?"**

Czy to aby trzeźwy pisał?

W reportażu „Krajobraz z sentymentem" czytamy:

„W rolnictwie gminy postęp idzie zbyt wolno. Zbyt wolno przyjmuje się nowatorstwo w dziedzinie upraw i hodowli. Zbyt wolno stanowiska usługowe wobec rolnictwa powierza się właściwym ludziom. Jeszcze to się wymyka, tamto nie wychodzi. Są pełne szanse, by w gminie Aleksandrów wychodziło".

Nie jest dobrze, gdy wolno idzie postęp, gdy stanowiska powierza się zbyt wolno i wolno przyjmuje się nowatorstwo. Ale znacznie gorzej, gdy dziennikarz pisze zbyt szybko. Wówczas — mimo, że są pełne szanse — nie wszystko wychodzi.

DZIWNE, CIEKAWE...

I WE ŚNIE POWSTAWAŁY WIELKIE DZIEŁA...

Ciekawe dane przytaczają pamiętniki genialnych twórców o powstawaniu wielkich dzieł podczas snu.

Włoski skrzypek i kompozytor, sławny w całej Europie wirtuoz i pedagog, Giuseppe Tartini (1692—1770), skomponował m. in. ok. 150 sonat skrzypcowych. Pomysł jednej z nich, najbardziej znanej, słynnej „Sonaty diabelskiej" — jak twierdził w pamiętniku kompozytor — miał zrodzić się w czasie snu.

Wielki kompozytor niemiecki, Ryszard Wagner (1813—1883), usłyszał raz we śnie, jak gdyby z zaświatów, dochodzące dźwięki i melodie muzyczne, które posłużyły mu później do skomponowania uwertury do opery p.t. „Złoto Renu". Przy powstawaniu każdego innego dzieła, genialny twórca dramatu muzycznego zwykł był mawiać:

— Nie z zewnątrz, tylko z wewnątrz dopływa do mnie mój strumień życia!

Dramatyczne tło opery Wilhelma Kinzla p.t. „Ewangelista" powstać miało również we śnie. W swoim pamiętniku autor opowiada, jak pewnej nocy, we śnie, ujrzał obraz przyszłego swego dzieła. Obudziwszy się nad ranem, skreślił przeżycia senne. Pisał je „jak gdyby mi ktoś — zwierzał się przyjaciołom — wiódł rękę po papierze".

Uczony i wynalazca niemiecki, Duisberg, tak pisze o jednym ze swych odkryć:

— Pewnego dnia śniło mi się, że można przygotować farbę niebieską w sposób zupełnie inny niż czyniono to dotychczas. Kiedy obudził mnie przyjaciel, opowiedziałem mu treść snu i przeprowadziłem w jego obecności eksperyment. Postąpiłem według recepty, udzielonej mi w czasie snu i odkryłem właściwą niebieską farbę, która przyniosła przedsiębiorcom wiele zysków.

Wielki astronom angielski pochodzenia niemieckiego, William Herschel (1738—1822), opowiada w swoich wspomnieniach, iż planetę Uran wpierw widział we śnie, zanim udało mu się ją zobaczyć w rzeczywistości przez teleskop.

Również sławny niemiecki filozof i matematyk, Gottfried Wilhelm Leibniz (1646—1716), zobaczył po raz pierwszy we śnie podstawę swego systemu, na którym oparł teorię budowy wszechświata.

Wybitny chemik niemiecki, Friedrich Kekulé von Stradonitz (1829—1896), na jednym z posiedzeń niemieckiego towarzystwa chemicznego tak zwierzył się audytorium o jednym ze swych odkryć w czasie snu.

— Wiedziałem, że drobnoustroje poruszają się. Nigdy jednak nie udało mi się zbadać, jaki jest rodzaj ich ruchów. Pewnego razu, podczas snu, ujrzałem, jak dwa atomy połączyły się, jak większe z nich objęły mniejsze, jak wszystkie poruszały się ruchem kołowym. Po przemyślanej reszcie nocy, nad ranem, skreśliłem zarys teorii strukturalnej atomów.

Podobnie objawiła się uczonemu w czasie snu teoria budowy pierścieniowej benzenu.

Również wybitny fizyk duński, Niels Bohr (1885—1962), zawdzięczał objawieniu sennemu, jeszcze w czasach studenckich, swą teorię budowy atomów.

GDY SERCE ROŚLINY PRZESTAJE BIĆ

Znany pisarz angielski Aldous Huxley (1894—1963), podczas swej podróży do Indii, bawiąc w Kalkucie, zwiedził był m. in. Instytut J.C. Bose'a, znanego badacza życia roślin. W książce p.t. „Drwiący Pilat" opisał, jak uczony, oprowadzając osobiście swego gościa po pracowniach Instytutu, pokazał mu wiele ciekawych zjawisk, zaobserwowanych przy pomocy specjalnych, bardzo czułych przyrządów. Wzrost rośliny, jak również reakcję na prąd elektryczny, zaznaczała automatycznie igła na zadymionym szkle. Przyjmowanie pokarmów przez roślinę obserwowano na podstawie równoczesnego wydzielania przez nią tlenu. Przy pewnej ilości wydzielonego tlenu dzwonił mały dzwoneczek, dając sygnał — podobnie jak w maszynie do pisania przy końcu wiersza. W ten sposób stwierdzono, że roślina pod działaniem słońca spożywa dużo pokarmu, dzwoneczek bowiem dzwonił bardzo często, niemal bez przerwy. Natomiast roślina znajdująca się w zaciemnionym miejscu zmniejszała ilość przyjmowanych pokarmów, bo dzwoneczek uderzał z dużymi przerwami i słabo. Kropla podniecającego środka, dodana do wody, wprawiała również dzwoneczek w silny ruch.

Uczony Bose usypiał w razie potrzeby rośliny chloroformem. Podobno przesadzanie „dorosłego" drzewa kończyło się śmiercią rośliny.

Pisarz angielski podziwiał również przyrząd, notujący bicie serca rośliny. Był to cały system maleńkich dźwigni, w zasadzie podobnych do tych, jakie znajdują się w barometrach samopiszących, ale nieskończenie bardziej czułych. Drobniutkie pulsacje, zachodzące w warstewce tkanki, leżącej bezpośrednio pod zewnętrzną powłoką łodygi, ulegały stężeniu i zapisaniu samoczynnie kropkowym pismem na ruchomej płycie zadymionego szkła. To bicie „serca", notowane kropkami, było bardzo powolne, skurcze następowały prawie co minutę. Tętno, po dodaniu do wody środka podniecającego, np. kofeiny lub kamfory, nabierało żywości jak tętno zwierzęcia. Natomiast po zastosowaniu trucizny na wykresie zaobserwowano proces agonii w postaci gwałtownych skoków, które po krótkiej chwili znikały, a „serce" przestawało bić.

Na zakończenie swego sprawozdania, Huxley wyraził przypuszczenie, że ludzie, którzy po zwiedzeniu rzeźni przestali jadać mięso i przeszli na kuchnię jarską, po zwiedzeniu Instytutu Bose'a, zastanowiliby się poważnie, co właściwie można jeść.

Tkwiłoby w tym sporo przesady, ale może oduczyłoby wielu ludzi od zbytecznego i bezmyślnego niszczenia roślin.

Opr. F. LEW.

ROZRABIACZ

Zbliżała się godz. 14-ta. Pracownicy przedsiębiorstwa w N. liczyli niecierpliwie minuty dzielące ich od zakończenia urzędowania. Piękne, październikowe popołudnie i resztki jesiennego, ale mocno jeszcze przygrzewającego słońca, pobudzały do urlopowych wspomnień.

Referent P. oczyma wyobraźni ujrzał platynową blondynkę, która na sopockim molo obdarzyła go czarującym spojrzeniem. Do dzisiejszego dnia nie mógł sobie darować, że zabrakło mu wówczas odwagi na coś więcej niż odwzajemnienie się nieśmiałym uśmiechem. Pani Krysia z księgowości, patrząc smętnie na kolumny cyfr, myślami była przy ognistym Szwedzie, poznanym na kołobrzeskiej plaży. Przystojny, z iście sarmackim gestem Olaf, w ciągu kilkunastu minut rozwijał jej wyobrażenia o zimnych Skandynawach. Nawet ruchliwy zwykle kierownik W. rozsiadł się wygodnie w fotelu i leniwie dopijał zimną herbatę.

Sielankowy nastrój zakłócił nagle suchy głos sekretarki dyrektora:

— Naczelny prosi na naradę!

W biurze powstał popłoch. Do jednego telefonu rzucili się równocześnie panowie P. i W. Zamrożony wściekłym spojrzeniem szefa referent wykrztusił — ależ bardzo proszę panie kierowniku, ja poczekam. Kierownik W. podniósł słuchawkę, wykręcił numer i usiłując opanować drżenie głosu powiedział jak mógł najspokojniej:

— Marysiu! Ziemniaków jeszcze nie wstawiaj, bo zimnych nie będę jadł. Zanosi się na dłuższe posiedzenie. Przed wyjściem jeszcze zadzwonię. Pa!

Dyrektor S. chodząc nerwowo po swoim gabinecie od razu przystąpił do rzeczy.

— Koledzy, okazuje się, że mamy zagrożone wykonanie planu rocznego. Musimy się zastanowić jak temu zaradzić, w jaki sposób poprawić organizację pracy i współdziałanie z kooperantami.

— Czy dzisiaj nie będzie kawy? — nieśmiało zapytała pani Krysia.

— Jak zwykle o wszystkim muszę pamiętać, nawet o kawie. W całym zakładzie wszyscy o czymś zapominają i dlatego takie mamy wyniki — z goryczą w głosie oświadczył dyrektor S.

Błyskawicznie podana po tej reprymendzie kawa rozładowała nieco nastrój.

— Pan dyrektor świetnie wygląda po urlopie, chyba był pan w Bułgarii? — zaryzykowała komplement pani Krysia.

— Ależ skąd, nic podobnego, dostałem wczasy nad naszym Bałtykiem od kolegi z zaprzyjaźnionego przedsiębiorstwa w Zalesiu.

— No pewnie — wtrącił kierownik W. — oni mogą sobie pozwolić na wszystko, nawet na własny ośrodek, i to nad morzem.

— A dlaczego my nie możemy wybudować własnego ośrodka, czy nas na to nie stać — energicznie odparowała pani Krysia.

— Właśnie, fundusz socjalny mamy spory, trochę społecznego wysiłku i kto wie... — w zamyśleniu dodał dyrektor.

— Moglibyśmy wówczas zorganizować atrakcyjną wymianę wczasów z innymi zakładami — zapalił się kierownik W.

— Może nawet zagranicznych, np. ze Szwedami, przecież oni sąsiadują z nami tylko przez Bałtyk... marzycielsko szepnęła pani Krysia.

— Koledzy — nieśmiało wtrącił, milczący dotychczas referent P. — przecież mieliśmy zastanawiać się nad wykonaniem planu...

— Rozrabiacz, defetysta! — przerwał mu gwałtownie kierownik W.

— Przez takich jak on nigdy do niczego nie dojdziemy — dodała zjadliwie pani Krysia.

— I nie wykonamy planu — zakończył autorytatywnie dyrektor S. wskazując oskarżycielsko palcem i drużgocąc spojrzeniem skurczonego ze strachu referenta. P.

STANISŁAW BĄKOWICZ

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYŚLI PODPATRZONE

Wybrańcami bogów zostają przeważnie ci, którzy nadają się na ofiary.

Czasami trzeba dopuścić się na kimś gwałtu, żeby ocalić jego cnotę.

Najpierw był chaos... A potem bałagan.

Odejmując człowiekowi od ust — można odetkać mu gębę.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2344. R-11.